



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr 20

OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie otrzymać mogą bezpłatnie *na żądanie* początek powieści pod tytułem:

SILNY DUCH

przez E. HEIMBURG

przeł. z niemieckiego

która rozpoczętą została w (Nr 49) „Bluszczu“ 1884 roku.

OZYMANDYAS

Shelley'a.

Podróżnik wracający z starożytnej ziemi
Rzekł do mnie:—Nóg olbrzymich z głazu dwoje
[sterczy

Wśród puszczy— bez tułowia.... w pobliżu za niemi
Tonie w piasku strzaskana twarz.... Jej wzrok szy-
[derczy,

Zacięte usta, wyraz zimnego rozkazu—
Świadcza, iż rzeźbiarz dobrze na tej bryle głazu

Oddał żądz wizerunek, co, choć w poniewierce,
Przetrwał i rękę mistrza i mocarza serce;
A na podstawie napis dochował się cało:
„Ja jestem Ozymandyas, król królów. Mocarzel!
„Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą
„Gińcie z rozpacz“.

Więcej nic już nie zostało.

Gdzie stąpić, gruz bezkształtny oczom się ukaże,
I piaski bielejące w pustyni obszarze....

El-y.

ŻYCIE W RODZINIE.

(Dokończenie).

Tradycyjne u nas pojęcie stanowiska kobiety w małżeństwie pozostało skryształizowane w wyrażeniu: *połowica*. Jest i drugie starodawne określenie u nas małżonki: *przyjaciółka dożgonna*, ale oznacza ono przeważnie serdeczny do siebie stosunek męża i żony, to ich uczucie wzajemne, w które z wolna przeradzała się miłość, łącząca niegdyś kochanków: uczucie może tkliwsze i słodsze od niej, bo uspokojone w sobie i nad namiętność podniesione, a niewątpliwie już głębsze i silniejsze—przywiązanie, które urabiało z wolna życie przez wspólne obojgu radości jego i smutki, a gruntowało się na zaufaniu wzajemnem, że jedno jest dla drugiego wszystkim. Taką parę małżonków, ze starego naszego żywota wziętą, odmalował nam Kraszewski w *Doli i niedoli*: przesłizny to i niewymownie za serce chwytający obrazek, dwojga starzejących się już ludzi, którym „wyżyć bez siebie i parę dni było tęskno“. Najchłodniejszy czytelnik wzrusza się też, gdy nie-

młoda już żona po kilkunastu latach małżeństwa uczuwszy przy pocałunku na dobranoc wilgoć na oczach męża, pyta go z czułym niepokojem, a przecie jakby z jakimś uszanowaniem dla jego męskiej, z bolescią umiejacej walczyć natury:
— O panie mój! czyś ty nie płakał?

Płakał on—samotnie i w tajemnicy przed żoną zapłakał nad synem jednakiem, który duchem dla nich obojga ginał; Kraszewski streścił tu w obrazie tej pary jedną moralną historią rodziny naszej dawnej. U matki tklivość dla dzieci bez granic; u ojca jest ona również w sercu, ale podnosi się ponad nią rozumne i szlachetne pojęcie godności rodzicielskiej, która nawet dla jednego i nad życie kochanego dziecka do słabości nie schodzi, i idei obowiązku, cnoty łamać nie dozwala. Serce matki pęka, ale szanuje ona ten hart ducha męzowskiego, nie podnosi przeciwko niemu buntu łez i wyrzekań. Lecz on odczuwa mimo to, jak boleć musi serce matczyne, rozumie jego cierpienie i pozwala matce iść dalej, niż on, ojciec, iść może: pozwala jej opatrzyć głowę niewdzięcznego syna błogosławieństwem na drogę obranego życia, pozwala jej przytulić sobie jeszcze tę głowę do piersi zbolalej i wylać nad nią łzę. Miłość macierzyńska najtkliwsza, postawiona w starciu okrutnem, nie spycha jednak kobiety z gruntu obowiązków żony, nie wnosi w nie rozstroju i żona przedstawia też doskonały obraz *przyjaciółki dożgonnej*, która przez żadne inne, w piersi jej odzywające się uczucia tego związku dwóch serc, dwóch dusz nie targa i do godziny życia ostatniej zostaje mężowi swemu wierną tak, jak mu przysięgała u ołtarza: — A iż cię nie opuszczę aż do śmierci...

Nie opuściła męża dla dziecka, tak, jak nigdy, nawet w myśli przelotnej, nie opuściła go dla kogoś innego — nie przeniosła nad kogoś innego, choćby tym innym było własne ich dziecko. Tylko serca, przez niższy swój organizm ciasne, nie mogą sobie radzić, jakoby ze zbytciem uczucia,

tam, gdzie są one szlachetnie rozszerzone, wszystkie te uczucia uczciwe — wszystkie dobre, naturalne uczucia dość miejsca obok siebie znajdują w nienaruszonej nigdy harmonii obowiązków.

Tylko potrzeba właśnie mieć tych obowiązków poczucie głębokie, a miara, równowagę tu trzymająca. znajdzie się niezawodnie i dobra żona będzie dobremu mężowi przyjaciółką dożgonną.

Przecież *połowica*, to coś wyższego jeszcze, bo szerszego w znaczeniu swoim. Samo brzmienie wyrazu już wypowiada, że ta para ludzi, przysięgą ślubną ze sobą złączonych, ma się dzielić życiem na połowę, więc, nie przez serce tylko, ale we wszystkich istnieniu ludzkiego zadaniach i pracach — w całym zakresie obowiązków, do których wypełniania zawiązuje się przez małżeństwo jakgdyby wspólka. Mężczyzna pamiętać o tem powinien przy wyborze żony; kobieta powinna to wiedzieć zawczasu, że taką jest jej rola w stosunku do męża: dzielenie się trudami i powinnościami życia, ciężarami jego, wspólnie niesionymi. Więc też przychodzą tu na podział i obywatelskie, społeczne obowiązki. Żona — to przez ślub zaprzysiężona współpracownica męża: gospodyni jego domu, wychowawczyni jego dzieci, towarzysza jego w stosunkach życia towarzyskich, pomocnica w tem wszystkiem, co w zadaniach tego życia do pożądanego celu prowadzi, i na to wszystko łączy się ze sobą to dwoje. Żona, która sobie wyobraża, że mąż powinien na nią pracować, a ona ma tylko owoców tej pracy używać; żona, która to mężowi za powinność kładzie, aby w życiu jej i dzieci przyjemność, zabawa za jakąkolwiek cenę jego trudu i troski miejsce swoje mieć musiała — taka żona już nie ma prawa do tego, aby jej służyło miano *połowicy*, ona się bynajmniej z mężem życiem nie dzieli, lecz tylko żąda, aby jego życie poszło na jej korzyść, na jej posługę.

Równouprawnienie, którego dziś kobieta domaga się tak silnie, nie jej w życiu rodziny więcej dać nie może nad to, aby była połowicą męża. Równość praw musi polegać na równości obowiązków; widać, że dawna kobieta nasza w ten sposób ugruntowała stanowisko swe u ogniska domowego, kiedy stary nasz język taką denominacją jej nadał. Powiedzieć o żonie *połowica* — to powiedzieć: równa!... to powiedzieć: współniczka!... więc stojąca na jednym poziomie z tym mężem, który z nią życie podzielił, jedną jego połowę z ufnością w ręce jej składając.

W życie rodziny nowoczesnej kwestya pracy kobiecej zaczyna obecnie wprowadzać nieznane dotąd zamieszanie pojęć. Wymagania komfortu rosną, materyjalna cywilizacja naszej doby wypycha dawną prostotę obyczajów, i gdy warunki bytu rodzinnego stają się coraz trudniejszymi, pomnożenie dochodów rodziny zaczyna często jednaczyć się w umyśle średnio-zamożnych kobiet z pojęciem większej lub mniejszej szczęśliwości. Więc energiczniejsza, sprężystsza z natury, uważając pracę przy domowym ognisku za mało produktywną, odrywa się od niej, aby szukać poza domem innej, która według jej zdania lepiej, bo hojniej, groszem zyskanego zarobku się opłaca. Ale nietylko sam ten grosz obliczyć jej należy, bo nie on przecież o wszystkim wśród życia stanowić może, i jeżeli to jest matka, która kocha, jeżeli to jest żona, której serce uczuciem miłości dla męża bije, niech się zastanowi nad tem, ile ją ten za domem pozyskany pieniądz drugostronnie kosztuje, zabierając ją najdroższym, najświętszym jej życia obowiązkiem i zajęciom?

Niech obliczy, ile on jej ujął troskliwej myśli o dziecku, ile on jej ujął troskliwej myśli o mężu — o ich wygodzie, zdrowiu, przyjemności, o moralnem i materyjalnem ich dobrobycie, i czy to, co zarobić może, wynagrodzi tym jej ukochanym strate, przez to ponoszoną, że połowa jej sił, jej energii, zdolności jej umysłu w innym kierunku działalności wyczerpywaną zostaje?

Czy jest na świecie wyręczycielka, która bez szkody zastąpić-by ją mogła — matkę w dziele wychowywania macierzyńskiego, żonę w zabiegach tliwej o męża dbałości? I wszystko też to, co ten mąż, co to dziecko potrzebuje od niej dostawać, aby piersi ich przenikały się dobroczynnie ciepłem uczuć, aby pod ciepłą tego wpływem wytwor-

zało się dla nich uszczęśliwiający życie serca — wszystko to, co przez moc miłości czyni z kobiety w rodzinie niby promień słońca, złojący blaskiem swoim szarą powszedniość naszego codziennego bytu, wszystko to, co jest wśród tego bytu jakąś poezią, słodyczą, wdziękiem, wszystko musi powoli zniknąć, zamierać w nim, jeżeli kobieta, wydzielając się z rodziny, pójdzie dla zarobków materyjalnych kędyś poza tę rodzinę kołem czynność swoją rozwijać, męczyć się i spracowywać — rozbijać się piersią o te fale życia, które nieraz mężczyźną za twardo, za surowo hartują, jeżeli mu brakuje na uchronienie w sobie pierwiastku uczuciowego łagodzących wpływów rodzinnego ogniska.

A kto będzie wtedy wesołym uśmiechem, aby zmarszczone czoło zmęczonego w walce życia mogło się wesoło rozchmurzyć? Kto będzie objęciem miłosnych ramion, które go na progu domu witając, obejmą, i do serca sobie przytulą, aby tam słodko i cicho odpoczywał? Kto będzie śpiewał u kolebki dziecka: — „Śpij moje złoto“ i o kim potem odezwą się też te słowa syna:

Raz mi się śniło, że są tu na ziemi
Białe anioły z skrzydłami białemi,
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata
Po nad kałuże, błota i przepaści
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane,
Promieniem Bożej myśli rozjaśnione,
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane.
I jam się pytał: — gdzie anioły takie?
A przy mnie wtedy matka moja stała;
Włos rozgarniała, czoło całowała,
I rzekła tylko: — Tam, synku malenki,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie....

Strudzona robotnica, która przed domowe ognisko będzie ze świata przynosić ze sobą tylko brzemie swego znużenia, nie potrafi już być matką taką, która wizje białych aniołów na sny synów swoich sprowadza. I nie podoła też ona temu zadaniu drugiemu, aby między nią i mężem nastąpiło jednego życia podzielenie, skoro raz jej własne życie wyrobiło sobie prąd oddzielnego strumienia, którem musi uchodzić część jej istoty: część jej serca, jej duszy, choćby najlepsza wola, najgorętsze jej samej pragnienie chciało ją bronić od tego. Może nad tem płakać, może nad tem ręce łamać, ale mimo to wszystko musi ulegać prawu konieczności, które nie pozwala nikomu być razem w dwóch miejscach i na wosku ludzkiego ducha piętno jego pracy odciska.

Z żoną, pracownicą poza domowym ogniskiem, już nie może być takiego życia w rodzinie, jakie dziś jest w pojęciach naszych jego ideałem i czyni z rodziny instytucją, która ze względu na najświętsze ludzkości cele stanowi podwalinę społeczeństw i spójnię narodów, wytwarzającą się z przechowywania rodzinnych tradycji i iskier rodzimego ducha. I domowego ogniska już też właściwie wtedy niema, bo niema domu, któryby się przybytkiem rodziny mógł nazywać, a jest tylko jakiegoś dachu uchrona, gdzie, jak na popisie hotelowym, rodzina jada i sypia, gdzie ma złożone pakunki swoje. Matka tylko stanowi o tem, aby dom rodziny w moralnem tego słowa znaczeniu istniał, dom, w którym ona chowa dziecko, i gdzie zarządza dobrami, przez pracę mężowską zgromadzonemi, a które jej praca zachowuje i od zniszczenia strzeże, jako wspólnego mienia rodziny. Stara ta nazwa, od Rzymian nam w spadku zostawiona, która małżonkę i gospodynię rodzinnego domu nazywa kapłanką domowego ogniska, nigdy się nie przestarzeje, nigdy w treści swojej prawdziwą być nie przestanie, póki człowiek we właściwem znaczeniu tego wyrazu rodzinę tworzyć będzie, i gdyby raz ten dostojny tytuł kobiety w rodzinie stał się dla ludzi czczym dźwiękiem zborem — wtedy nie byłoby już rodziny....

Sama myśl o tem, przed umysł rzucona, już tworzy jakgdyby Dantejskiego Piekła widzenie, bo obraz takiego życia ludzkości, w którym człowiek byłby surowym „zjadaczem chleba“, pozostawionym bez żadnych pociech i uciech słodkich,

ze źródła uczuć, z głębi serca mu płynących. To też trzeba nam, idąc za radą poety: — „Strzedz świętości swoje i zachowywać ideałów czystość“. Kobieta w rodzinie powinna raczej na nie jeden brak dla siebie, dla męża i dziecka swego przystać, niżby, odrywając się od przyrodzonego stanowiska swego, życie w rodzinie wykolejać i prze-naturzać, zabijać miała.

Marya Ilnicka.

HENRYK SIEMIRADZKI

(Dalszy ciąg).

Siemiradzki pochodzi z rodziny ziemiańskiej, która niegdyś zamieszkiwała w Województwie Nowogródzkim. Ojciec jego służył wojskowo; obowiązki służby rzuciły go w daleką gubernię charkowską. Tutaj, we wsi Pieczyneg, urodził mu się d. 15 Września 1843 r. syn, któremu na chrzcie św. dano imię Henryk. Wychowaniem dziecka głównie zajęła się matka, z domu Prószyńska. Pierwszą naukę ułatwiło przeniesienie ojca do Charkowa, gdzie przyszły artysta skończył szybko gymnazyum i w bardzo młodym wieku wstąpił na uniwersytet. Z własnej czy z rodziców swych woli, obrał sobie wydział przyrodniczy. Niewiadomo jaki miał wtedy zawód przed sobą; roztropność wszakże rodzicielska nie łamała w nim tego zawodu, w którym później za-błysnął. Wcześniej już zaczął go uczyć rysunku, do którego dziecinna jeszcze dłoń rwała się ze szczególnem zamiłowaniem. Mieszkał wtedy w Charkowie malarz Bepersczy, uczeń Brüllowa. Był on pierwszym nauczycielem Siemiradzkiego — nauczycielem teraz jeszcze wspomnianym ze słowami wdzięcznego uznania. Bepersczy rzucił miał pierwsze podstawy tej umiejętności w kompozycji, jaką dziś talent dojrzały tak wybitnie celuje. Kończąc uniwersytet, w r. 1864, młodzieniec miał już wytkniętą dla siebie drogę ostatecznego powołania: miał zostać malarzem. Zaraz z uniwersytetu przeszedł do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. Uniwersytet sam przez się nie rozwinął w nim artyzmu, ale rozwojowi jego nie zaszkodził, nie stłumił ani zamiłowania, ani wyobraźni, a wzbogacił umysł wiedzą, która zawsze i wszędzie jest siłą, chociażby z istoty swojej bezpośrednio do wytkniętego celu użytą być nie mogła. To, czego umysł młodzieńca potrzebował dla zebrania zasobów, które już wprost same przez się w pracy artystycznej pomocnemi być miały, znalazło się, bądź w wykładach akademii, bądź w zasobnej bardzo i poważnej bibliotece, gromadzonej przy zakładzie. Siemiradzki starał się zawsze wiele wiedzieć i wiele rozumieć; inteligencja jest charakterystycznym znamięm jego sztuki. Mało mamy artystów tak, jak on, wykształconych i czujących całą wagę wykształcenia ogólnie-ludzkiego dla tego szczegółowego celu, jakim jest oddanie się sztuce — dla wszelkich wogóle celów i zawodów.

W akademii, która kształciła z pożytkiem tylu rodaków naszych, przebywał Siemiradzki przeszło sześć lat. Po skończeniu właściwego czteroletniego kursu pracował jeszcze na wielki medal złoty, zapewniający sześcioletnie stypendyum za granicą. Postawił na swoim: zdobył i najwyższe odznaczenie i zarazem możliwość dalszego kształcenia się. Przez cały czas nauki w akademii otrzymał pięć medali srebrnych i dwa złote. Oddawna już nie miano ucznia tak zdolnego, tak wiele obiecującego na przyszłość. Z tej pierwszej epoki wytwarzającego się artyzmu dwa obrazy Siemiradzkiego zasługują na wspomnienie, oba tematowe: *Dyogenes rozbijający chłopców czarę u źródła* i *Alexander Wielki przebaczący trucieliowi*; pierwszy z nich znajdował się na wystawie urządzanej przed kilku laty po śmierci biednego Tegazza.

W r. 1871 był już Siemiradzki w Monachium. Studya odbywał samodzielnie. Malarstwo Pilotego najwięcej może do niego przemówiło swoim kolorytem; przez rozważenie go najwięcej może zy-

ską dla swej sztuki: ale nie można powiedzieć, aby wpływowi jego uległ. Trzymał się niepodległe, doskonałe tylko ten artysta, którego zarody miał już w sobie w wysokim stopniu rozwinięte. Sam *Dyogenes* wystarczał już do ukazania w Siemiradzkim przyszłego kolorysty. Młody artysta przybywał do Aten nad Izerą jako wyosobiona już indywidualność, przybywał z pomysłami, które nie potrzebowały dopiero osnuwać się na wzorach monachijskich. Świat starożytny, do którego wprowadziła go jeszcze akademia, nie przestawał go urokiem swoim przyciągać. Cezaryzm, okrucieństwo, zbytek rzymski, uderzały jego wyobraźnię; skłonność kolorystyczna wabiła efektami malowniczości, jaką temata takie wraz ze sobą przynosiły; żądza artystyczna ukazywania ciał nagich miała przed sobą pole szerokie. Tak usposobiona wyobraźnia wydała z siebie pomysł *Orgii rzymskiej*, znanej także pod nazwą *Epizodu z czasów Cezaryzmu*. Obraz ten, wymalowany w Monachium, był pierwszym większym utworem, samoistnie już wykonanym. Przy wspaniałej architekturze jest to kompozycja pełna ruchu, ale i miary, w szlachetnym nastroju trzymająca, ale mimo to drgająca rozpamiętaniem, dla którego równowagę dziejowy Barbarzyńcy z Północy znaleźli w upadku Rzymu. Podobno artysta malował ten obraz z zamiarem przedstawienia w nim biesiady nerońskiej. — Był to główny, jeśli nie jedyny, owoc jego prac monachijskich. Nie uległszy nikomu, nie przygląwszy do nikogo, ale z wielkim uznaniem dla sztuki, którą zastał w Monachium, opuścił Siemiradzkę, to miasto i, wstąpiwszy jeszcze do Norymbergi i Dreżna, zawitał do Rzymu.

Rzym ma w sobie coś czarodziejskiego dla każdego poważnego artysty. Duch młody a prawdziwie do sztuki powołany zbliża się do Wiekuistego Miasta, jakby wstępował na progi świątyni. Tyle tu piękna, tyle wielkości i sławy — i jakieś idealne powietrze, jakiego napróżno szukałbyś gdzieindziej. Czujesz przed sobą sędziwy a czerstwy majestat, na który się składały wieki i potęgi, którego żadna siła fizyczna podpiąć nie potrzebuje, i żadna też przemoc fizyczna nie skazi. Wiele potęg upadnie, wiele blasków zmierzchnie, a ten majestat czarowny, przez wieki utrwalany, zostanie. Taka jest moc piękna i tradycji, że nawet mech na posągach pięknym się wyda. Rzym jest i będzie długie jeszcze lata przednią skarbnicą wzorów dla sztuk pięknych widomych. Choćbyś nie z niego nie wziął, weźmiesz trochę powietrza w płuca. Malarstwu rodzajowemu wolno się bez Rzymu obywać, ale artysta rozpoczynający swój zawód, chociażby nawet miał jaknajwyraźniej w tym kierunku wyrobioną dążność, zbłądzi, jeśli rozmyślnie Rzym pominie. Siemiradzki nie mógłby się być takiego błędu dopuścić, gdyby nawet już przedtem wyobraźnię twórczą w Mieście Wiekuistym nie przebywał. Pomijamy względy uboczne, zewnątrz duszy działające: artysta sam przez się umysłowością swoją zbyt silnie już żył i rósł w ludzkości, za nadto podniosłe miał dążenia w sztuce, aby mógł w swojej artystycznej podróży stolicę Cezarów i Papieżów na stronie zostawiać: nie tylko więc pojechał, ale raz przyjechałszy, już pozostał nazawsze. Od dwunastu lat w Rzymie ma stałą siedzibę. Tu sobie założył pracownię i urządził dom, tu w r. 1873 przywiózł żonę, — z tej samej rodziny, z której wyszła była matka jego — tu doczekał się kilkorga dzieci, tu je wychowuje, ztąd rozchodzą się na świat wszystkie jego dzieła. Ukochał Rzym, wżył się weń osobą swoją, wżarł sztuką — nie umiałby już dzisiaj może gdzieindziej pracować. W domu jego przy Via Gaëta, w północnej stronie Rzymu, jeszcze długo szczerbiot jego dzieci rozlegać się będzie, a myśl nieprędko oderwie się od tych miejsc, w których pędził tyle już dokonał.

Najpierwszym obrazem wymalowanym w Rzymie była *Jawnogrzesznica* (1872 r.) — Chrystus z apostołami nadciągający z głębi krajobrazu wschodniego na widownią szalejącej rozpusty. Chwalono w tym utworze wielką żywość kolorystyczną, powagę i czystość pojęcia; twarz jawnogrzesznicy zarysem swoim i wyrazem, wielce oryginalnym, wrażała się głęboko w umysły widzów;

orszak święty poziemski, ale szlachetnie oddany, sam Chrystus z pięknym profilem, z rozumem spojrzeniem, z tą siłą spokojną, co o zwycięztwie nie wątpi, bo je ma już w sobie; malowniczość jako zeznawane i szanowane prawo sztuki malarskiej, jako jej obowiązek; od cichej i czystej, — Chrystusowej połowy obrazu odrzyna się efektownie druga, większa, z bogatą architekturą, na którą rzucone są umiejętnie wpólnagie postacie kobiece i kilka postaci męskich podrzędnego znaczenia, ale w grupie zadanie swoje doskonale spełniających. Słońce przepaliło już te mury jak rozpusta przepaliła dusze. Drzewo, które później tyle razy w mniejszych kompozycjach powtarzać się będzie, tu zjawia się poraz pierwszy, z oryginalnymi swymi korzeniami, pnem, liśćmi i konarami. Jak są ręce Matejki, tak jest to drzewo Siemiradzkiego. Wrażenie, jakie sprawiła całość obrazu, oglądanego przez przybyszów z całego świata na powszechnej wystawie przemysłowej w Wiedniu 1873 r., było tak silne, iż rzuciło podwalinę pod europejską sławę artysty.

Po tej wycieczce na Wschód Azyatycki myśl twórcza, nie opuszczając Starożytności, wróciła do Rzymu, gdzie jej było najlepiej, gdzie najswobodniej poruszać się mogła, i tu już pozostała. Mówimy o tej działalności artysty, która, nie mając żadnego szczególnego przeznaczenia, wszystko, co wydaje, światu całemu ukazywać może. Zaraz po wystawieniu *Jawnogrzesznicy* pomyślał artysta o nowym obrazie. Miało to być płótno wielkich rozmiarów, — dzieło większe i głębsze od poprzednich. Na wykończenie go poświęcił Siemiradzki przeszło dwa lata czasu; odbył wiele studyów dla poznania form życiowych starożytnego Rzymu; gromadził wzory jedne po drugich, szczegóły obmyślane kształtował w licznych szkicach, które, jeśli się dochowają, rzucą kiedyś światło, nie tylko na historię wewnętrzną obrazu, ale i na metodę i mechanizm, na drogi samego talentu. W r. 1876 obraz był już skończony. Są to *Świeczniki chrześcijaństwa*; hałastra Cezara, zabawiająca się u stóp jego pałacu; wspaniała znowu architektura, piękne oblicza, bogactwo rysów i postaci, przepych i wdzięk kolorytu, rozum w obmyśleniu i ustawieniu szczegółów, jednolicie się ze sobą wiążących; miękkość pędzla, jakaś płynność, lekkość techniki — ale przy tem wszystkim, z ducha swego tak dobrze, jak z przemagającej treści kompozycyja ta jest raczej „*Dworem Nerona*” niż „*Świecznikami chrześcijaństwa*”. Obraz nie sprawia wrażenia wielkiej tragedji dziejowej, jaką rozpoczęło zapalenie tych żywych pochodni, które miały świat cały oświecić. W r. 1879, podczas jubileuszu Kraszewskiego, Siemiradzki, rzucając myśl założenia muzeum narodowego, zaraz ją sam za siebie w czyn wprowadził: *Świeczniki* swoje ofiarował do przyszłej galeryi. Są one dziś ozdobą Sukiennic.

(Dokończenie nastąpi).

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Justka przy tej sposobności mnóstwo powszedniego życia szczegółów z Baranówki udzieliła ciekawej Porochowej, a gdy na sumę dzwonić zaczęto i ekipaż pani Sędziny zbliżył się ku bramie cmentarza, wyszła witać sąsiadkę z serdecznością największą. Twarz jej tem była wesejszą i milej się uśmiechającą, im większą miała nadzieję dokuczenia kochanej sąsiadce, dopomagając Justce do ucieczki.

Co się potem stać miało z biedną sierotą, o to

Porochowa się wcale nie troszczyła, będąc tego przekonania, że biedactwo zawsze się jakoś wygrzebie.

Dwie wdowy i dwie ich córki, powitawszy się u bramy, wejrzeniem troskliwym zrobiwszy inwentarz swych toalet i gałganków, powoli udały się do pełnego już kościoła, w którym panna Hanna z fraucymerem, dzięki potężnej protekcji ramion pisarza prowentowego, znalazła przyzwolite pomieszczenie.

Justce na sercu było lekko, modliła się gorąco, przekonana, że Pan Bóg się ulitował nad nią i zesłał jej Porochową, aby ją wyzwolić z niewoli tej babilońskiej. Bolała tylko nad tem, że pocziwa, dobra, serdeczna opiekunka sama wziąć jej nie mogła.

Skutkiem tej krótkiej rozmowy na cmentarzu było, iż Justka wbrew radom wuja, pomimo obawy puszczania się tak na włóczęgę bez grosza, bez opieki, bez odzieży, bez niczego, postanowiła jaknajmocniej myśl swą płochą, dziecinną doprowadzić do skutku.

Mimowolnie pani Sędzina w ciągu następnych dni kilku nie tylko nie rozproszyła tych marzeń i nie uspokoiła biednej sierotki, ale ją podrażniła mocniej jeszcze. Skutkiem nikczemnej denuncyacji Ewusi, lizusa, który się wszystkim przypochlebiał, zabrano ostatni elementarz biednej Justce i kazano jej publicznie klęczeć w garderobie za ukrywanie tej zakazanej niebezpiecznej książki. Sędzina skorzystała z doniesienia, ale na Ewunię spojrzała z pogardą, a do panny Hanny odezwała się pocichu:

— Paskudne to stworzenie; trzeba się go pozbyć będzie, przy pierwszej sposobności.

Wujowi już się nawet nie poskarżyła Justka, lecz wkrótce go mając opuścić, — a był to jedyny człowiek na świecie, którego kochała i który jej okazywał przywiązanie, — biegła częściej ku stodołę, łapała go w dziedzińcu i ze łzami w oczach całowała po rękach.

Stary uśmiechał się jej, głaskał ją po głowie i powtarzał: — Miej tylko cierpliwość; wszystko będzie dobrze. Sędzina ma serce litościwe, tylko taki nałóg gderania; a co ja się od niej w życiu nasłuchałem! — aż nieraz uszy wędły.

Ze spuszczoną główką dziewczę nic już nie odpowiadało, ale stałe miało postanowienie: — „Niech się dzieje co chce, ja muszę ztąd precz w świat, gdzie oczy poniosą”. Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył.”

Każda z dziewcząt u Sędziny miała swoje skrzyneczkę i wyprawę bardzo skromną, którą powiększały małe podarki, jakie czasem od gości się dostawać trafiło. Justka była tak dumna, że ani myślała zabierać z sobą tego, co od Sędziny miała; chciała się obejść jak najmniejszym, jedną sukieneczną na sobie, dwiema koszulami, trzewikami starymi, które na nogach miała, chusteczką, podarowaną niedługo przez panią krewną Sędziny i t. p. Resztę lepszą swych rzeczy postanowiła w kuferku zostawić i — nie tknąć. Brała co było najgorszego, ale niezbędnego.

Postanowiwszy uciec, myślała teraz tylko, jak się to da wykonać. Sama jedną nocą się puścić, nie miała odwagi, a była pewna, że za nią i wuj i Sędzina gonić będą. Czekala na radę pani Porochowej, która jakoś następnej niedzieli w kościele się nie pokazała. Czekala więc Justka, ale nie zmieniła myśli. Wuj był pewnym, że jej to przeszło, że zapomniła, gdy właśnie, im dłużej trwało oczekiwanie, tem dziewczę mocniej się utwierdzało w postanowieniu. Chodziła posępna, milcząca i aż panna Hanna, spostrzegłszy w niej zmianę, zaczęła ją strofować łagodnie; zalecała jej, aby się otrząsła z tych fumów. Justka nie powiedziała nic, ale została, jak była. Sędzina nazywała to niegodziwą krnąbrnością, a na krnąbrność innego nie widziała środka, tylko przełamanie jej siły. Zwracała więc tem większą uwagę na dziewczę, wołała ją i kazała szyc pod okryciem w swoim pokoju, gderząc nieznośnie.

W niedzielę następującą złożyło się tak nareszcie, iż Justka mogła na chwilę panią Porochową pochwytać.

— A dobrodziejko moja — zawołała, całując ją po rękach — ratuj mnie, bo ona zamęczy

Jednej godziny-bym nie wybyła, ale jak tu uciec? Nocą się boję, a we dnie patrzą, szpiegują.

Porochowa kląpcem po głowie przerwała jej.

— Przysiąż-że mi, na ten kościół i Boga, co na nas patrzy i słucha, że mnie nie wydasz, że nigdy nikomu nie powiesz, iż ja ci pomogłam!

Dziewczę, skrzyżowawszy ręce na piersiach, pospieszyło zaprzysiądz, a sąsiadka litościwa schyliła się jej do ucha.

— We Środę, w nocy, wymknij się z dziedzińca ku gościńcowi. Będzie tam stać furmanka, człowiek pewny. Ten cię podwiezie, a nim rano się opatrzą, będziesz o mil kilka. Na, masz, karteczkę do mojej siostry do Strzyżowa; ona już będzie wiedziała co zrobić z tobą, ale jak ty mi pishiesz co, to Pan Bóg cię srodze ukaże.

Porochowa byłaby może udzieliła jeszcze jakieś informacji, ale w tej chwili Sędzinka się ukazała już na cmentarzu, a sąsiadce szło o to, aby jej w towarzystwie Justki nie zobaczyła, odskoczyła więc jak oparzona, niechcąc już ani jej znać, ani wiedzieć, a Justka z kartelusikiem w rękę, który za sukienkę wsunęła, pozostała sama i pośpieszyła do kościoła. Teraz już się tak składało wszystko, że Justka—musiała uciekać. Dreszcz po niej przebiegł, lecz zarazem z dumą pomyślała, że postawi na swoim, że będzie wolną, że tam, gdzie się znajdzie, elementarza jej zakazywać nie będą mogli i t. d.

Modliła się ze łzami.

Trzy dni ją dzieliły od tej nocy. Jakby na przekór temu postanowieniu, Sędzinka, która miała serce i w końcu zawsze miękła, poczęła trochę łagodniej się obchodzić z dziewczęciem. Pozwoliła jej powrócić z robotą do garderoby i nie prześladowała gderaniem, które spadało na Ewusię pochlebnie, tembardziej zniechęconą, im się więcej upadła przed panią. Sędzinka wyraziła się nawet, mówiąc odziewczętach z panną Hanną:

— Z tej krnąbrnej Justki, jak się to nałame, może jeszcze być co pocziwego, ale z Ewusi, co się tak liże, nic dobrego nie wyrośnie, nie! nie!

We Wtorek potajemnie miała już tobolek swój gotowy Justka. Poszła do wuja tęskna, nie śmiąc się mu przyznać co miała począć,—rozplakała się. Stary ją pocałował i tak rozstali się z sobą.

Noc była ciemna, chmurna bezksiężycowa, gdy pocichu, na palcach, trzewiki niosąc w rękę, Justka się wysliznęła tak z garderoby i z sionek do ogrodu, że nikt ani słyszał, ani się przebudził.

We dworze było cicho, a w starych drzewach wiatr nawet się nie dawał słyszeć. Z bijącym sercem, dziewczę znaną sobie dobrze furtką, która się zasuwała od ogrodu, wyszło ku gościńcowi, ale tu obiecaną furmankę nie było nigdzie. Wybrała się z niecierpliwości zawczasie, a co gorzej, zaczynała wątpić, czy Porochowa słowa jej dotrzyma i przysła po nią.

Upłynęła godzina przepłakana, która się jej wiekiem wydała. Od wsi psy zaczęły naszczekiwać, coś jakby turkot cichy wozu dało się słyszeć w dali; zbliżał się bardzo powoli i nareszcie pod płotem ogrodowym, ostrożnie, cichutko wóz przystanął.

Justka nie dała mu odpoczywać długo, zaledwie dostrzegła go i przygarbionego woźnicę, który chciał wysiadać, gdy już nadbiegła ku niemu. Nie pytając jej o nic, człowiek przysłany pośpiesznie nazad się na wiązce siana swej usadowił, biczem wskazał jej drugą w koszyku z tyłu i ledwie miała czas się wgramolić na wóz, już koń polechtany biczyskiem zwolna się poruszył, koła zaskrzypiały. Justka była, jak chciała, sama jedna, na Bożej opiece, w drodze życia.

Oburącz objęła twarz palającą i płakać, płakać zaczęła. Strach niewysłowny ją opanował. To dreszcze to płomienie przechodziły po niej.

— O, doloż ty moja, dolo—szepiała do siebie—o, matko ty moja, coś mnie tak odumarała sierotą, ulitujcie się nademną. O, Boże miłosierny, aniele stróżu mój, matko bolesna i ty patronko moja!

Wszystkie tak posługi niebieskie z kolei wywoływała Justka, a lzy się jej lały strumieniem, aż nareszcie ze znużenia, z bólu się ich przebrało. Senną być zaczęła, choć zasnąć się obawiała. Wkoło panowały ciemności, otaczał ją las czarny,

straszny jakiś, ponury, w którym dziwne odzywały się głosy. Stary woźnica, który w początku się jej przypatrywał, parę razy zagadnął i nie otrzymał odpowiedzi, w końcu też drzemać poczynął. Koń zwolnił kroku i wóz się włókł tak, że Justce strach się robiło, aby jej nie napędzono.

— Zmiłuj się, mój dobry człeczko — odezwała się do woźnicy. — Zmiłuj się, pośpiesz choć trochę; ja się boję.

Nie śmiała się przyznać, iż pogoni się lękała, ale stary był dobrze poinformowany i obrócił się do niej z uśmiechem.

— Nie napędzi nas tu nikt — rzekł, bo to nie gościeńiec. Jam nie głupi wielką drogą pannę wieść, kiedy pani kazała, żeby uchowaj Boże nas nie przyłapali! Nie bójcie się: ta droga w las potrwa, a potem i bez wszelkiej drogi pojedziemy dla bezpieczeństwa.

Po mowie poznała Justka w woźnicy dworaka. Wistocie był to stary fernal ze Zdunowa, który na ten raz przywdział siermięgę i bawiło go to, że dziewczynę wykradał.

Uspokojona Justka tak się czuła złamaną, że pochyliwszy się na siano i przyłożywszy zaledwie głowę do niego, usnęła. Wóz tymczasem lasem i zaroślami posuwał się dalej, a woźnica już nie drzemał, obawiając się zabłądzić.

Chłód wiosennego poranku i śpiwoty przebudzono go ptactwa Justkę też ze snu otrzeźwiły. Wstała, czując na sobie wilgotną rosę i ze zdumieniem postrzegając, że na dworze było już jasno, a przez pnie przerzedzone lasu różowe przegładało niebo, zwiastując blizki wschód słońca. Przeżegała się i zaczęła modlić. Woźnica też mruczał ranny pacierz swój krótki.

Stanęli przy małej karczemce w lesie, u której nawet zajazdu nie było. Koń potrzebował trochę wytchnąć, napić się i przegryźć siana. Woźnica zastukał do okna, bo zimny ranek kieliszek wódki czynił koniecznym. Justce ani pieć ani jeść się nie chciało. Była na pustym, szerokim tym świecie, niby wyswobodzona, wistocie bezdomna i skazana—któż mógł odgadnąć na jaką przyszłość?

Strach jednak i lzy wkrótce się zmieniły w jakąś nadzieję odważną, która odżywiła ją i pokrzepiła.

— Już mi chyba nigdzie gorzej nie będzie! — szeptała do siebie — choćbym u żydów służyć poszła, choćbym za prostą dziewczkę do krów się na-jęła.

Myśl jej pobiegła z trwogą znowu do dworu Baranowieckiego. Tam jeszcze pewnie spali wszyscy, ale wkrótce miała się przebudzić Sędzinka, a panna Hanna zawsze ją usiłowała uprzedzić i być już na nogach. Może więc zobaczyła jej sienniczek pusty, i już szukała zbiegłej; może myśleli, że się wyrwała do ogrodu.

Sądziła, że ucieczki nierychło się chyba dorozumieją, a nim gonić zaczęła, ona już znajdzie się bezpieczną—daleko.

Siostra pani Porochowej starsza, zameżna Powitowska, kobieta niemająca, obarczona liczną rodziną, której mąż trzymał małą dzierżawę, a głównie zajmował się spekulacją na koniach (niezawsze szczęśliwą), wcale się nie spodziewała przesyłki, jaką ją obdarzyć miała oddawna nie widywana, trochę zaniedbana sąsiadka Sędziny.

Siostry nie były z sobą w ścisłych stosunkach, odwiedzały się rzadko. Porochowa trochę się wstydzila Powitowskiej, krzywiąc na to, że jej mąż wywłokami frymacył; Powitowska zaś gniewała się na nią za dumę i nieużyteczność, bo jej nigdy w najmniejszej rzeczy nie pomogła. Pięcioro dorastających dzieci, kłopoty gospodarskie, dość nieszczęśliwie prowadzone interesa, dom Powitowskich czyniły istnem piekielkiem. Od rana do późnej nocy nie było tu spokoju.

Powitowski niesłodki, żona skwaszona zawsze, częściej gości z pretensjami końskimi, kłótnie, potem swary i krzyki dzieci, gderanie jejmości, napieniały dom wrzawą. Dostatku też nie było tu nigdy i ledwie się konce schodziły. Wysłanie sieroty do Powitowskich było tak nierozważnym

krokiem, iż je chyba tylko gorącej chęci splełania figla Sędzince kochanej przypisać było można.

Gdy Justka z kartką przysła do dworku, i pocałowawszy w rękę gospodynię, oddała ją zdziwionej wielce, Powitowska długo nie mogła zrozumieć nawet o co to chodziło, nie przypuszczając, ażeby jej, przeciążonej rodziną, miał kto jeszcze jedno dziecko narzucać. Patrzała na Justkę, czytała, odczytywała, pluła, ruszała ramionami, i pobiegła z tem do męża, a dziewczę tymczasem, głodne, przysiadłszy na ławce w ganku, rozpatrywało się dokoła.

Dzieci, które krążyły z początku zdaleka, zbliżać się i zaczepiać ją zaczęły. Zwolna robiły się znajomości. Justka nie wątpiła bynajmniej, że ją tu przyjmą. Tymczasem Powitowsky oboje przeciwko siostrze, która im kłopot nasłała, wykrzykiwali:

— Co ona myśli! Szpital u mnie czy co? A czemuż jej sama nie przyjęła, kiedy taka litościwa. Jedną gębą więcej w domu i na jednego więcej smarkacza patrzeć i dozorować—tego mi brakło!

— A co my mamy za obowiązek? — kończył Powitowski — jak przyjęła, tak niech sobie jedzie. My tu dla niej miejsca nie mamy.

Wzburzeni oboje gniewali się okrutnie. Sama jejmość powróciła na ganek i wręcz oświadczyła sierocie:

— Tu dla ciebie miejsca niema! dość i tak jest gęb do karmienia. Jakesz przyjechała, tak ruszaj.

Kazano zawołać woźnicę, aby mu oświadczyć, żeby sobie zabrał sierotę nazad, ale fernal, mający rozkaz pani, zaledwie wysadziwszy Justkę, umknął.

Justka padła na ławę, płakała i wołała, że za nic w świecie już tam nie powróci. Powitowska zaś nawet do progu domu jej nie chciała dopuścić.

Szczęściem wdały się w sprawę dzieci, dla których dziewczę było nowością i rozrywką, jedne płacząc z Justką, drugie cisnąc się do niej z ciekawością. Wygnać jej tak precz nie było podobna. Gospodyni musiała się na wstawienie ulubieńców swoich ulitować sierocie, kazać ją zaprowadzić do garderoby. Pozwoliła jej tu spocząć, ale zapowiedziała, ażeby sobie gdzieindziej miejsca szukała.

Strwożona i zrozpaczona, w początku Justka, gdy dzieci tu za nią pogoniły i okazywały jej zaczęły wielkie i żywe współczucie, odzyskała trochę męstwa. Położenie było wprawdzie gorsze, niż się spodziewała, ale była wolną; nie tu, to gdzieindziej musiała sobie znaleźć kątek. Ufała w Bogu.

W garderobie dzieci naprzód się postarały ją nakarmić, co ona wdzięcznie przyjęła, potem musiała pobawić się zniemi, choć ochoty do tego nie miała. Powitowska tymczasem po naradzie z mężem ferowała wyrok, ażeby sierotę gdzie oddać do klasztoru, bo tak wypuścić na zgubne imię w świat już ciż się nie godziło. Nie wiedziała o tem, że Justka, nasłuchawszy się u Sędziny różnych strasznych baśni o klasztornej niewoli, za nic w świecie-by się zamknąć w niej nie dała.

Dzieci wymodliły u matki, iż następny dzień dozwolone było sierocie spocząć tutaj.

Na noc odesłano ją na folwark ekonomowej. Jest to prawda niezaprzeczoną, że im się niżej schodzi w społeczeństwie, w klasach uboższych, które cierpiały same i znają niedolę, tem więcej się znajduje współczucia dla niej niż u możnych, którzy nędzy wierzyć nie chcą, albo ją przypisują winie ludzi na nią wystawionych. Ekonomowa, gdy jej Justka historią swą opowiedziała, zjęta została litością wielką dla biednego dziecka.

Ona sama uczynić nic nie mogła, ale chciała przynajmniej pokierować, obmyśleć coś.

Z górą dziesięć lat mająca dziewczynka, umiejająca trochę prostszych robót kobiecych, rozgarbiona, ochotna do pracy, niewymagająca, żeby też nie znalazła sobie przytulku na świecie! pocziwej kobiecie nie wierzyć nie chciało.

— Tu na wsi, po dworach, to ja tam niewiem—poczęła Ekonomowa — ale gdyby się tylko dostała do miasta. W mieście za takimi podlotkami się uganiają, bo to niewiele wymaga a robi wię-

cej często, niż starsze, którym już co innego w głowie.

Ekonom, mąż posłuszny i pod pantoflem żony, podzielał jej zdanie, ale jak tu było, o czym, z kim do miasta ją dostawić?

Justka słuchała ciekawie. Myślała sobie, że gotowaby piechotą i o głodzie, ale drogi nie wiedziała — i niebezpiecznie było się tak puścić.

Na folwarku nakarmiono ją znowu i do późnej nocy trwały rozmowy, a dziewczę o sobie i o Sędzinie opowiadać musiało.

Posłano jej siana w alkierzu. Gdy położywszy się, usnęła, nie przebudziła się aż późno nazajutrz, bo dzieci ze dworu nadbiegły i wyzywały ją z sobą do zabawy.

Naprawdę z trochę dobrej woli Powitowska, nie obciążając się wcale, mogła Justkę u siebie przysparzać, a byłaby się jej wypłaciła przy dozorze małych dzieci i robotkami, ale, na złość Porochowej, która narzucała jej ten miłosierny uczynek, siostra za nic go spełnić nie chciała. Powtarzała, że u niej nie szpital, żeby jej nasyłano jakieś dzieciaki zpod ciemnej gwiazdy...

Nazajutrz dekretowaną była już Justka na wywiezienie do Brześcia... i wyrzucenie w miasteczku na łaskę Bożą. Tymczasem Ekonomowa się ulitowała, poszła do dworu i wyprosiła, ażeby jej oddano sierotę, a ona znajdzie sposób wyprawienia w świat bezpieczniejszego. Powitowska nie była rada z tego, że oficyalistka litościwszą się od niej okazywała, ale chciała się pozbyć i Justkę kazała się na folwark wybierać.

Ekonom tegoż dnia przypomniał sobie, iż z sąsiedniego majątku, klucza hrabiów B., transportował dzierżawca fur kilka masła na sprzedaż do Warszawy. Jeździła z nim zwykle pani ekonomowa, przyjaciółka ich, kobiecina młoda, ruchawa i wesoła, sama Warszawianka.

— Julisia nam tego nie odmówi, i dla miłości Bożej zabierze sierotę — odezwała się Ekonomowa z żywością. — Dowiedz się dziś do Julisi. Jabym sierotę u siebie na folwarku jako służkę mogła zatrzymać, bo-by się to opłacało, ale pani będzie solą w oku: niechaj jedzie!

Ekonom tedy z miszą i siadłszy na konia, dojechał do pani Julisi i tak ją historią sieroty żywo zajął, że obiecała razem z masłem zabrać ją do Warszawy.

— Chyba Pan Bóg nie łaskaw, żebym ja jej tam kątka nie znalazła — dodała Julisia. — Już to, co prawda, w tem mojem Warszawsku można się równie uratować, jak zginąć, ale Bóg opiekun sierot. Dziewczyną śmiała, ja jej lada komu nie powierzę.

A że szło o pokazanie twardym sercom możniejszych ludzi, że mali się bez nich obejść i też coś zrobić mogą, obie ekonomowe zajęły się gorąco sierotką. Starsza naprzód opatrzyła jej tobolek i znalazłszy wyprawę tak nędzną coś do niej ze swoich rupiec dorzuciła. Ekonom ofiarował na nieprzewidziane wypadki — trzy złote!

Justka go ze łzami w ręce całować zaczęła: znalazła więc ludzi, serca, na które rachowała! Ponieważ z opowiadania się okazało, że elementarz był powodem niechęci Sędziny, a dla Justki upragnionym życzeń celem, wynaleziono aż dwa stare, którei obdarzoną została. Pochodziły one ze dworu, ale tam swawolne dzieci szczególnego zamięłowania do czytania i nauki nie miały.

Justka była uszczęśliwiona szczególnie tym podarkiem i już w ciągu dnia zasiadała w ganku z wielkim zapalem, rozpoczynając jawnie studia. Sylabizowała głośno i zapominała o całym świecie.

Ekonomowej na ten widok łzy stawały w oczach. Wprzód jeszcze, nim masło miało się transportować, Julisia zażądała, aby jej przywieziono sierotę.

Nie miała własnych dzieci; młoda jeszcze, żwa-wa, a ruchawa, chciała się zająć sierotą opuszczoną przez panów.

Ileż to razy takie uczucie współzawodnictwa do uczynków szlachetnych pobudza! Dopiero gdy Justka siadła na furkę, aby odjechać w drogę swych przeznaczeń, a dzieci Powitowskich płakać za nią zaczęły, pomiarkowała jejmość, że mogła tę małą i niekosztowną niankę zużytkować; ale już było zapóźno.

Julisia przyjęła sierotę z wielkiem przejęciem się swą rolą opiekunki. Dziecko wprawdzie, tak jak teraz wyglądało, nie mogło obudzić innego uczucia, chyba politowanie; brakło jej wdzięku. a twarzyczka niewiele nawet obiecywała, ale z oczu patrzała bystrość i odwaga, a w słowach czuć było przedwczesną dojrzałość, jaką daje cierpienie.

Justka musiała tu powtórzyć znowu całą swą biografią, pobyt u Sędziny, nieznosną jej gniewliwość i prześladowanie.

— No, dobrze już jej tam być musiało — wykrzyknęła w końcu Julisia — kiedy o głodzie i jednej koszuli wolała w świat iść, niż pozostać tam dłużej.

Tu dodać-by należało, iż oprócz samej Sędziny córka jej faworytka, pieczętami popsuta, także mentorką chcąc być sieroty, życie jej zatruwała.

Wspomnienie Sędzianki, panny Rozalii, która nieustannie śledziła, donosiła, dokuczała Justce, dotąd ją trwogą napelniało.

Z pociechą wielką myślała teraz, iż została raz nazawsze od nich wyzwoloną i że one prawa do niej najmniejszego nie miały. Przykro jej tylko było, że wuj biedny tęsknił po niej i frasować się o jej los musiał i od Sędziny znosić wymówki, ale nie przypuszczała, aby starego, niewinnego za jej winę prześladować miano.

Nim masło i fury były gotowe, ekonomowa Julisia zlepiła ze swoich starych, dwie nowe sukienki dla sieroty, wyłatała trzy koszule, i nawet trzy chustki do nosa dodała do wyprawy.

Tłumoczek z Baranówki wyniesiony skutkiem tego miłosierdzia Bożego powiększył się we troje. Justka wróżyła ztąd, że i przyszłość gorszą być nie może.

Masło Julisi — prawdę rzekłszy, nie potrzebowało opieki jej i trudem się z niem do Warszawy, było bowiem zawsze hurtem zakupywane przez restauracyę hotelu Gerlacha, i pod lada czym dozorem mogło się dostać na miejsce; ale Julisia była dzieckiem tutejszego bruku i tak kochała to swoje miasto, iż wszelkich środków używała, aby się dostać do niego, potem, żeby choć dni kilka tu zabawić.

Córka niemającego przekupnia, ładna, żywa, zawczasu dojrzała, ale nie zepsuta, bo naówczas jeszcze religijne usposobienie ludności nigdy jej bardzo nisko upaść nie pozwalało, Julisia spędziła pierwsze lata pod skrzydłem — nie matki, niestety, ale ojca tylko. Ten nazbyt był swoim handelem zajęty, ażeby córki mógł dopilnować, więc młodość była i dość burzliwa i jakąś katastrofą się skończyła. Julisia wyszła z niej jeszcze stosunkowo dość szczęśliwie; doświadczenie smutne uczyniło ją ostrożniejszą i — znajomość przypadkowa z panem ekonomem skończyła się małżeństwem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

VIII.

Rok nowy przybywa do nas w towarzystwie niepokojów, udręczeń, obaw o przyszłość, i bez tego wielkiego hałasu, jaki się zwykle robi naokoło nowoprzybyłych. Widać troskę na każdym obliczu, a przyczyną tego nie jest bynajmniej polityka, nastrojona teraz na ton pokoju, lecz położenie społeczne, stosunki ekonomiczne: one-to zaszępiają widnokrąg. W gruncie rzeczy dwie te troski możnaby zbić w jedną: w troskę o chleb powszedni. Nic się nie sprzedaje, stagnacya wszędzie, rolnictwo zagrożone bankructwem, przemysł nie wie, gdzie już szukać dla siebie zbyt. Pieniądze są, ale wychylić się lekają.

Przytem nad bankami zawisło niebezpieczeństwo, już nie ekonomiczne, ale moralne: kradzieże i przewierstwa ogólne, dochodzące już do milionów. Jednem słowem: stan nie jest prawidłowy. Nie spoczywa się na różach, a lekarstwo na wszystko to złe — czyż jest i gdzie go szukać? Możeby się znalazło w moralności związanej z religią, ale właśnie wszystko już uświeczono, na wszystkich polach wydano walkę religii i moc wszelką jej odjęto. Być może, iż zbyt wielkie zaludnienie pogarsza jeszcze sprawę; ale można to mówić tylko o tych miejscach, w których ludność jest zbitą, jak np. w wielkich ogniskach przemysłowych.

W Niemczech nadzwyczaj żywo zajmują się koloniami. Długo czas wcale o nich nie pomyślano nawet; teraz są najpopularniejszym przedmiotem. Urok potężnego umysłu tak jest wielki, że wywołuje w massach dążenia samoistne, nieprzemyślane. Nie słychać tedy o niczem, tylko o Kongo, o Afryce, o koloniach. Pełno tego po wszystkich dziennikach. Jest to wielki tryumf dla kanclerza, który z wielką zręcznością interes ten przeprowadził. Cały świat oddaje mu z tego względu sprawiedliwość. Nateraz główna trudność w urzeczywistnieniu zamierów powziętych na daleką przyszłość spoczywać będzie w tem, że marynarka, będąca dopiero w początkach swego rozwoju, nie nastarczy licznym wymaganiom handlu i stosunków kolonialnych. To też przemysł powinienby się zwrócić w tę stronę, aby przygotować to, czego potrzeba do budowy i uzbrojenia okrętów. Czy tylko ludność wybrzeży niemieckich, mająca dostarczać majtków przyszłej flocie, sprosta zadaniu? Wątpliwości tej, jak nateraz, nie umielibyśmy rozstrzygnąć.

Niemcy zyskałyby wielką pomoc, gdyby przy samem zakładaniu swej potęgi kolonialnej weszły w sojusz z jakim państwem posiadającym flotę bardziej rozwiniętą, a niemającą zbyt wiele do czynienia. Wszystko wskazuje Włochy, jako najodpowiedniejsze do oddania tej przysługi. W chwili, kiedy to piszemy, niewiadomo jeszcze, na który port, na Tryest, czy na Genuę, padnie wybór Niemiec, które muszą mieć na południu Europy uprzywilejowaną stacyą wywozową, na potrzeby przyszłych kolonii. Włochy ubiegają się o honor i pierwszeństwo; ale i Austria również może się z niejakiem prawem spodziewać, że jej aliantka nie zostawi jej na koszu.

Ponieważ mówimy o koloniach i wychodźstwie, dodajmy, że obrachunki roku ubiegłego okazują znaczne zmniejszenie się liczby wychodźców niemieckich. Ameryka staje się już teraz mniej gościnna, zamyśla już zamknąć drzwi innym; tak, jak to zrobiła Chinęzykom.

Początek roku zaszępiły straszliwe wieści o trzęsieniu ziemi w Hiszpanii. Zrządziło ono szkody niczem nienagrodzone. Gwałtowność jego była tak wielka, że ludność nie miała czasu na ucieczkę. Piękne utwory sztuki, kościoły, pałace legły w gruzach. Szczegółów jeszcze tutaj nie mamy, ale pierwsze już doniesienia pozwalają przypuszczać nieszczęście okropne. Jednocześnie dały się czuć wstrząśnienia w Kroacyi.

Wszystko to nie pozbawi karnawału zwykłej mu wesołości. Tańczyć będą ludzie na tych, których ziemia pochłonęła, tańczyć będą na zabitych, na ofiary trzęsienia ziemi, na kolonie i t. d., — tańczyć będą zawsze i na wszelką możliwą intencją, byle tylko tańczyć. Ludzkość musi się pocieszać, upijać, kiedy na nią nieszczęście spadnie. Co robić? Łzy nie pomagają.

Doniesienia z Paryża żywiej i szerzej zajmują się *Teodorą* Sardou, niż wielką, choćby największą polityką. Niesłychany zbytek sceniczny, w związku z doskonałością gry i z talentem samego autora, czynią z tego dramatu coś jakby ostateczny cel, do którego tak długo żeglowała dramaturgia i do którego wreszcie dotarła. Przyszłość powie, co wart jest ten cel.

Ostatnie romanse francuskie zajmowały się damami z półświatka, wprowadzały nas do świata artystycznego, ukazywały artystów wszelkiego rodzaju i miary, lubowały się w bankierach i milionerach, rzucając wszystko na tło tego ładnego nieładu, na który Francuzi mają wyraz *bric-à-brac*.

Mielśmy w tych romansach wystudyowane z największą starannością opisy salonu modnego. W najnowszych utworach powieściowych królują cudzoziemcy, królują kolonia tych Paryżanów, którzy nie pochodzą z Paryża. Są to typy najzuchwalsze, bohaterowie najbardziej poszukiwani.

Niema prawie teraz romansu francuskiego bez milionera, bez Węgra, Rumuna, Amerykanina i t. d. Bohater takiego pochodzenia jest zawsze rzeczą niezmiernie wygodną dla autora. Wszelka excentryczność, dziwaczna oryginalność, przesada—wszystko to kładzie się na karb rasy, krwi słowiańskiej, wołoskiej, amerykańskiej. Bóg wie nie jakiej. Zaznaczam to, gdyż w romansach, niestety, jest moda na pewne figury niezbędne w danej chwili, tak samo, jak jest moda na kapelusze i suknie, zmieniające się z każdą nową porą roku. Od pewnego czasu powieściopisarstwo francuskie nad wszelkich innych bohaterów przekłada cudzoziemców. Mają oni to dobre, że wraz ze sobą przynoszą żywioł równie konieczny, jak oni sami: miliony. Otóż bez milionów nie ma romansu, niema zajęcia. Amerykanie już się przejechali panom autorom. Są oni wprawdzie jeszcze bogatsi od innych, ale niema wśród nich ani jednego typu, któryby już nie był zużytym.

Uwagi te wywołał nowy romans paryżki *l'ince Zilah* p. Clarétie, jednego z pisarzy będących w modzie i posiadającego niewątpliwy talent. Ale w tej chwili przypominam sobie, że ten romans wychodzi popolsku i że możemy go czytać w jednym z kuryerów warszawskich. Mogę więc dać pokój sprawozdaniu, zapewniając tylko, że utwór to wielce zajmujący. Autor jeszcze się nie wyczerpał i pracuje sumiennie. Jego kroniki całoroczne, ukazujące się od pewnego czasu, są daleko bardziej ożywione, niż inne zbiory felietonów w tym samym rodzaju.

Clarétie, jak zapewne przypominają sobie nasi czytelnicy, jest także autorem dramatycznym. Stanie się też z *księciem Zilahem* tak, że odbywszy podróż po Europie jako romans, odbędzie ją później jako dramat. Powodzenie (pieniężne stoi tu na pierwszym miejscu) Ohnetu, Sardou i innych otacza scenę urokiem nieprzepartym. Nigdy powieść żadna nie wzbogaciła autora swego tak, jak wzbogaca dramat: a więc—w tym wieku pozytywnym każdy chce się na scenę dostać.

Oczekiwana oddawna z ciekawością, jaką usprawiedliwia imię Ebersa, powieść jego *Serapis* ukazała się już przed niedawnym czasem i znalazła ogromne materyalne powodzenie¹⁾. Przedmiotem jej jest ostatnia przełomowa walka między pogaństwem i religią Chrystusową, a widownią tej walki Alexandya. Wszystko dzieje się w Egipcie, nad którym autor gruntownie a długie studia odbywał; ale z wyjątkiem samej sceny w powieści tej niema zresztą nic egipskiego. Tym, którzy czytali poprzednie romanse autora, *Serapis* nie przynosi nic nowego, ani jednej dzielnie rozwijającej się właściwości, żadnego postępu w kompozycji artystycznej. Jest tu tensam sposób tworzenia, są te same wady i zalety, te same zresztą piękności, jakie spotykaliśmy już w *Órce króla Egiptu*. Smutna to rzecz może, ale wyznać trzeba, że biorąc ściśle, *Serapis* znamionuje raczej upadanie niż dojrzałość. Ogłoszenie księgarskie obiecuje rzecz wyższą nad wszystko, co autor przedtem napisał. Nie sądzę, aby nawet najbardziej krytyka mogła potwierdzić ten wydykt. Po przeczytaniu dość nużącym tego tomu o 400 stronnicach musieliśmy pocichu zapytać siebie samych: „Do czego to podobne? do *Anacharsisa*, czy do *Salambo*?” Pomiędzy temi utworami odległość wprawdzie jest ogromna, a jednakże *Serapis* przypomina zarówno przestarzałą i zapomnianą już podróż, jak i dzieło Flauberta, wymalowane, wypieszczone z tak niesłychaną starannością.

Pierwsze rozdziały, w których autor zaznaja nas z przyszłymi bohaterami dramatu—przyznajemy to chętnie—są bardzo piękne, dobrze pisane, pełne życia i kolorytu, chociaż nieco za rozwlekłe. Ale wszystko gmatwa się i płacze

z chwilą rozpoczęcia się ruchu dramatycznego. Kiedy kobiety powieści (bo już bez dwóch młodych dziewcząt w jednej powieści Ebers żyć-by nie mógł) ruszają się i wchodzą w tłum, który pociąga i autora za sobą. Z tą chwilą dramat omdlewa. Opisy i rozmowy wloką się jedne za drugimi a czytelnik, który wie już, jaki będzie koniec, zły jest, że się go doczekać nie może.

Ebers umie doskonale wprawiać pierwsze szczegóły, ale scenariusz dramatu jest u niego zawsze bardzo słabym—pędzi trochę na oślep. Opis świątyni Serapisa, wymagający studyów nadzwyczaj starannych, jest doskonałym, ale byłby daleko stosowniejszym w dziele o starożytnościach Alexandrii. Osoby powieści są ociężałe, poruszają się zawolno, mówią zawiele. Naprężenie ciekawości raczej zmniejsza się z postępowaniem wydarzeń, niżby miało wzrastać. W sprawie pomiędzy poganami i pierwszymi chrześcijanami, autor, chcąc być sprawiedliwym, uciekł się do tego sposobu, że wskazuje strony ciemne obu tych światów i błędy jednego zacierając występki drugiego. Pomimo takiej metody, przyglądając się zblizka po jedynym szczegółom obrazu, powiedzcież prawie można, że świat grecko-rzymski, doktryna Platona, obudza w autorze więcej sympatii. Nakoniec Ebers, zrobiwszy swoje, na pożegnanie czytelnika wina swiatu, że filozofia grecka i religia chrześcijańska umiały się *połączyć i pogodzić na gruncie sztuki chrześcijańskiej* (?). Z wyjątkiem jednej tylko postaci wśród Chrześcijan wszystkie inne są wogóle mało pociągające; przeciwnie zaś przedstawiciele pogaństwa mają w sobie coś bardziej ludzkiego. Szczególniej mnichy wschodnie na jakich tutaj patrzymy, nie są to figury, któreby się lubić nie dały. Autor zanadto używał ponurych barw w tej części utworu.

Imię znakomitego egiptologa, który, nie przejmując się byciem profesorem i erudytem z powołania, nie pogardził pisaniem romansów, stało się bardzo popularnem w Niemczech, a utworom jego nie braknie tłumaczy. Jak się czynić zwykło z pisarzami przodującymi w literaturze, tak i teraz rozpoczęto wspaniałe wydanie typów i scen z powieści Ebersa według rysunków najpierwszych artystów. Bez wątpienia, Ebers zasłużył na to, co teraz już za swoje uważać może; ale z tem wszystkim, oddając mu sprawiedliwość, jako uczonemu, nie możemy go w żaden sposób postawić w jednym rzędzie z Freytagiem, Heysym i innymi artystami i stylistami niemieckimi. W stylu czuć trochę pedagoga. Jaką się też dla niego okaże krytyka z powodu nowego utworu? Zobaczmy.

Korrespondencya Jerzego Sand

(Tom VI).

Szósty i ostatni tom korespondencji Sanda przypada początkiem swoim na okrutną dla Francji katastrofę—wojnę z Prussami. Nowina spada na bawiącą u syna w Nohant. Julietta Adam śle do niej z Paryża telegram; Edmond Plauchet, przyjaciel rodziny, pisze list, ale biura pocztowe są tak zawałone tysiącami przesyłek podobnych, że ona odbiera to razem i pierwsze wrażenie jest głównie gniewne. Później przyjdą niespokojne rozmyślenia nad stanem kraju, nad polityczną stroną rzeczy; teraz to przeważnie uczucie moralne, które się w niej oburza na wojnę, niemającą podstawy w żadnej z tych racyi wielkich, które okrutny mord między ludźmi czynią ciężką potrzebą narodów. Rozumiała wojnę o wyzwolenie Włoch, rozumiała by inną podobną jej, ale tak dla kwestyi miłości własnej, w której honor Francji nie był dotkniętym... „Jeżeli entuzjazm Paryża jest szczery, to Paryż jest szalony—pisze 14 lipca (1870 r.) do Edmonda Plauchet, pisze to zaraz tego samego dnia do p. Adam, boleśnie wzruszona przyznaje się do słabości kobiecego serca, rwącego się na kawały na myśl o tej: „boucherie humaine“, która się rozpocznie. Przecież pojmuje wielką ofiarę dla sprawy wielkich obowiązków; jest w liście do Plauchet ciepłe słowo sympatii dla

nas, i choć istnieje w niej stale wiara w to, że świat musi iść przez wszystkie swoje przewroty ku lepszemu, pisze, że jest bardzo smutną i że tym razem jej „stary patryotyzm i namiętna miłość bębnow bijących capstrzyk“ nie może się w niej obudzić. Przy jej gorącej naturze i silnych przekonaniach uderza sprawiedliwość jej rozumnych sądów: przyznaje, że należy do stronnictwa republikanów, ale ostro wytyka ich błędy i zły względem Francji postępki, które popychały rząd Napoleona III w kierunku zgubnym. Ludzkość i ojczyzna podnosi się u niej szlachetnie nad stronnictwo wszelką; niema u niej ani odrobiny tryumfu, że ci, z którymi nie była w dniach pomyślności, zostają teraz przyniesieni nawalem win własnych. Całość jej korespondencji z czasów wojny nosi na sobie ten szlachetny charakter, który jedna szacunek dla jej wyższego rozumu i rzec można wspaniałego ducha. Gniew na sprawców nieszczęścia jest u niej krótki, nie podsyca jej go w sercu to, że musi teraz cierpieć z ich powodu. „Nie ma tu na świecie ani spokoju, ani radości pogodnej, i nikt nie może obejść się bez wielkiej odwagi, kto chce przyjąć te misy, aby kochał, poświęcał się, a więc i cierpiał“, pisze 30 lipca.

Ona ją ma, tę odwagę, a przynajmniej usiłuje zdobywać ją sobie, bo w tym samym liście do Flauberta, (z 15 sierpnia) w którym pisze: „Jestem tak zmęczona, jakgdybym walczyła narówni z naszymi biednymi żołnierzami.“ znajduje się taki ustęp: „Może to już dopełnia się ostatni zwrot ku błędnemu światu? Jasne, wyraźne zasady, które obecnie mamy na wszystko, powinnyby i tu wyłonić się z przebywanej zawieruchy. Jeżeli w porządku materyalnego świata nic się nie dzieje napróżno, świat moralny nie może być wyłączonym z tego prawa. Złe zrodzi nam dobre.“

Osobiście nie ucierpiała Sand nic na tej wojnie i nie poniosła żadnego ciężaru, prócz dobrowolnej ofiary, kilkakrotnie hojnie złożonej na potrzeby publiczne, to biednego Paryża, to obrony narodowej. Jej strony nie uległy nigdy zabarwieniu, i nawet nie widziała wcale wrogów, jak o tem pisze do Flauberta już w 1871 r., gdy po ośmiastu miesiącach niewidzenia pragnęła by ujrzeć przyjaciela, ale się wzdryga przed bytnością w Rouen, gdzie znajdowała się jeszcze załoga obca. Pisze obrazowym swym stylem: „Je n'ai pas vu pas un seul Prussien, et je voudrais garder mes yeux vierges de cette souillure...“ Ale mimo to, i mimo całej filozofii, z której chce czerpać meztwo i nadzieję, jest zbyt kochającą, aby nie cierpieć, do czego przyznaje się w liście do Julietty Adam: „Mam cierpliwość i wiarę, aby czekać; zrezygnowana jestem nawet na śmierć przed ujrzeniem zmartwychwstania Francji—ale to już—już wszystko“... Bolesny jest krzyk jej serca w liście z 22 sierpnia 1870 pisanym do Martineau-Deschenes, gdy schodząc się z Alfem Mickiewiczem, woła:—„Nani się nie zda szczęście nasze w domu, kiedy ojczyzna jest tak nieszczęśliwa!“—„Nie żyje się już teraz, nie istnieje przez siebie samych“—dodaje, a uczucie to nie jest w niej uniesieniem chwili. Gdy Paryżowi zaczęło grozić obleżenie, Edmond Plauchet pisał, jako przyjaciel troskliwy, czy w jej mieszkaniu przy ulicy Gay-Lussac, niema jakich kosztowności, któreby wywieźć ztamtąd wypadało? Ale ona nie czuje, aby cośkolwiek mogło być jeszcze kosztownem, gdy rzecz publiczna zostanie wydana na łup takiej niedoli: „Wszystkie cacka i graty tam moje są mi drogie—pisze w odpowiedzi, bo są to wszystko pamiątki, ale tyle stokroć droższych rzeczy, tyle głów ludzkich rozbitych zostanie, jeżeli Paryż będzie rabowanym, że niema już strat osobistych, o którychbym myślała...“ Wspomina tylko pobieżnie z żalem niejaki obraz Delacroix, ale gdzież go podziąć, bo gdzież napewno może być teraz we Francji kąt bezpieczny? i przechodzi natychmiast do interesów ogólnych. Gwardya ruchoma, „les mobiles“ jej okolicy, wyruszyła bez broni, której nie dają nikomu, bo jej nie mają; z goryczą dodaje poetka, że wielką liczbę młodych pozostawiono w domu z powodu „delikatnej kompleksy“ ale ona potrzasa głową. To nie kompleksa temu winna. Złe rozrządzano życiem, zmarnowano siły

¹⁾ Według dzienników berlińskich oddito już dotychczas *Serapis* w 28,000 exemplarzy. (P. Red.)

młode, i ona tak pobłażliwa, aż nadto uwzględniająca wiele rzeczy, których w tem społeczeństwie nieszczęsnie zepsutem nikt już, albo mało kto właściwą nazwą piętnował, woła w stoicyzmie dotkniętej powinności obywatelskiej, że teraz obowiązkiem tej młodzieży, która ma jeszcze siły żyć dzień cały po kawiarniach, jest: iść i — porozbijać sobie głowy...

I pisze też gdzieś indziej do Flauberta: „Obowiązek, to dziś nasz pan nad pany, to Zeus naszego czasu, z którego się urodził, aby stać się jego władcą. Istnieje on i działa, wyniesiony ponad wszystko, co nas wzrusza: nie rezonuje, nie prowadzi dyskusji z niczem — nie... Bada rzeczy bez trwogi i idzie naprzód, nie oglądając się poza siebie. Kronos, głupiec, pożerał kamienie, Zeus rozbija je gromem, a grom ten — to siła woli. Nie jestem też wcale filozofką, bo jestem służebnicą tego Zeusa, który zabiera połowę duszy niewolnika, ale zostawia ją całą i nie naruszoną odważnym“.

Pyszniejszego, szlachetniejszego zdania mądrości nikt nie wyrzucił sobie z duszy wobec nieszczęść swego kraju, i do tej kobiety mogą mieć zastosowanie słowa Ewangelii, że wiele wybaczonej będzie, bo wiele kochała.

Ta siła woli, którą nazwała zwyciężkim gromem obowiązku przy rozbijaniu kamieni, stających się zawałami życia, nie opuszczała jej nawet w chwili, gdy była bliską rozpacz, bo rozpacz jej nie znaczyła opuszczenia rąk i spokoju, za jaką bądź cenę. „Czy się umiera z zapalenia płuc, czy z kuli w piersiach, to zawsze jednakowo — umiera się tylko“... pisze do Flauberta w Październiku, gdy tragedia losów Francji dochodziła swego szczytu. Nohant, tak jak każda inna miejscowość zalanego najazdem kraju, nie przedstawiała bezpiecznego jutra. Tej bronii, której rząd nie mógł dać ruchomym gwardyom nie mogli też dostać i mieszkańcy, aby w okrutnej chwili napadu maruderów, bronić się jakotako. Przytem Paryż, przed zamknięciem bram swoich, wypuścił z więzień i poza mury swe usuwał zbrodniarzy, co też groziło wioskom niebezpieczeństwem niemińszem. Ona to wszystko wie, pisze o tem to do Edmunda Plauchut, to do Flauberta, a przecież nie opuszcza Francji, jak to czyniło tysiące innych. Chwilowo rodzina porzuciła Nohant, ale to wtedy, gdy jedna jeszcze z tych klęsk, które jak z puszek Pandory spadały na kraj nieszczęsny, ospa — ospa czarna wybuchła w okolicy. Ratowano dzieci, ale nie ujechano daleko, bo Maurycy Sand, syn, przy którym ona zamieszkała, nie chciał się wydalić poza granice swego departamentu. Mógł w każdej chwili być powołany do służby publicznej; mówiono o utworzeniu miejskich gwardyi narodowych, i nie chciał, aby Francja, wzywająca do usług swych syna, nie znalazła go na stanowisku. Dla tych przyczyn rodziny francuskie rozdzielały się ze sobą tysiącami; żony wyjeżdżały z dziećmi za granicę, zostawiając mężów, ale ta kobieta była szlachetniejszą, silniej kochającą. Maurycowa Sand, Włoszka z rodu, dla której świekra nie ma dość słów pochwały i uwielbienia, nie chciała opuścić męża, nie chciała w imię miłości macierzyńskiej łamać ślubu miłości małżonki, dawać dzieciom przykłady zbiegania z obowiązku, i pozostała z mężem. Ale matka mogła była odjechać syna spokojniej; właściwie Nohant było tylko jej mieszkaniem letniem, miała bowiem w Paryżu stałe mieszkanie inne, ale nie chciała i ona, co stanowi szlachetne piękny rys jej charakteru; cierpiała z Francją i rodziną, nie wiedząc nigdy rano, czy wieczorem spokojnie się spać położy i czy rabunek, mord, pożoga nie zaskoczą jej nagle w tym śnie. A nawet ta dusza uczciwej patriotki czuje się jakgdyby dotkniętą tem, że inni znosili więcej, i pisze do Ed. Plauchut, do Paryża, w grudniu: „Wyrzucamy tu sobie, że jadamy jeszcze obiady, że śpimy w naszych łóżkach, myśląc o waszych brakach o waszych trudach, o straszliwym zimnie tych długich, długich nocy“.

I przez prawdziwe uczucie wie ona przytem, jak kobiecie należy się zachować wśród takich przełomów okrutnych, przysłała też Edmundowej Adam słowa zdrowej, choć surowej rady: „Nie

trzeba teraz mieć nerwów, trzeba opanować wyobraźnię, która jest sprawczynią takich chorób. Nie jest-to moment, w którymby można upadać na siłach, wymaga on, abyś pani była mocną. Życie terazniejsze jest ciężkie dla mężczyzny i kobiety są im to winne, aby nie dokładały już nic ze swej strony do ich zmartwień i niepokojów.“

Możnaby zapisać całe stronnice szlachetnymi zdaniem jej mądrości wobec nieszczęścia. To, że dobro powinno wyjść z tego złego, które przenosiła Francja pod nawałą wroga, jest jej stałą myślą i 1-go grudnia pisze do księcia Napoleona w odpowiedzi na jego list pisany do niej ze Szwajcaryi: — „Przechodzimy teraz ciężką szkołę, w której oduczamy się lekkomyślnych obyczajów cesarstwa. Nieszczęście inaczej nas zahartuje do życia, staniemy się mniej *przyjemnymi*, mniej *eleganckimi*, ale będziemy mniej *sceptyczni*, mniej *leccy*, może mniej *samolubni*.“

I dalej do tegosamego: „Płynę na falach powodzi, jak mnie los niesie, ale szukając zawszeładu, bo wiem, że istnieje, i że każdy rozbiitek musi do niego przybić. Prawda i dobro nie są to kłamstwa, dosyć jest czuć je żywymi w sobie, aby mieć pewność, że istnieją w sumieniu ludzkości“. Umysłem stojąca na wyżynach myśli ludzkiej, nie odrywała się jednak od maluczkich, od prostych, bo miała serce które wiązało ją z nimi. W Paryżu pozostała w jej mieszkaniu, aby go pilnować, jej zaufania, dawna służka Martyna i wzruszającą jest rzeczą, jak się o nią troszczy, jak we wszystkich listach pisanych do obłożonego Paryża przez Londyn, nieustannie o niej wspomina i ma pewien żal do przyjaciół swoich, że nic nie piszą, nic nie donoszą o niej. Nie kłopotowała się o swoje zbiory, książki, meble, ale kłopotala się żywo, silnie o istotę ludzką, która tam była między niemi. W listach do Plauchut, do Henryka Harisse, nieustannie o niej pisze. Kartacz wpadł do jej pomieszkania, ona przecież nie pyta: — Co zniszczył? ale trwoży ją los biednej sługi: — Martyna! Martyna!... to jej ciągnęła troska.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZA OCEANEM

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

skreślone oryginalnie przez

HELENĘ NEGRONI.

CZĘŚĆ TRZECIA

(L A P L A T A).

I.

„Gauchos“, ich pochodzenie. — Zajęcia. — Gra w karty. — „Pulperye“. — Koloniści europejscy na stepach Pampas. — Koń stepowy. — „Tropilla“. — Podróż po stepie. — Bydło rogate i saladery. — Wielka i mała hodowla. — Różne narodowości i różne rodzaje przemysłu. — Nietknięte bogactwa mineralne.

(Dalszy ciąg).

Irlandczycy zajmują się hodowlą owiec, a dziewczęta są doskonałymi niankami, jedyne to uczciwe sługi, nieobdzierające żywcem swych państwa.

Krajowcy ci, którzy nie są właścicielami ziemskimi, łącząc się z Anglikami, prowadzą wielkie przedsiębiorstwa, zakładają fabryki, lub też są adwokatami, doktorami i zajmują posady rządowe.

Prócz tych licznych już eksploatowanych gałęzi handlu i przemysłu wiele istnieje jeszcze w Rzeczypospolitej Argentyńskiej źródeł bogactwa do dziś dnia nawet należycie niepoznanych. W paśmie Andów, stanowiących na zachód granicę rzeczypospolitej, znajdują się kopalnie wszelkich możliwych metali i drogich kamieni; złota, srebra, żelaza, miedzi, cynku, węgla kamiennego, marmuru, agatu, onyxu — wszystkiego jest podostatkiem, ale nikt jeszcze z zasobów tych nie korzystał. Brak komunikacji, kolei żelaznych, sąsiedztwo Indyan, a szczególnie brak rąk i nie-

zmierna łatwość zarabiania pieniędzy hodowlą bez mozołu i prawie bez pracy, kierują wszystkich na stepy Pampy, pozostawiając inne źródła przyszłości i następnym pokoleniom.

Rzeczpospolita Argentyńska posiada także bardzo bogate zasoby soli, które dotąd nie są wcale spożytkowane. Południowa Pampa obfituje w jeziora słone, których dna są pokryte grubą warstwą soli skryształizowanej, a w lecie woda, parując, pozostawia wybrzeża lśniące białą solą, w niektórych miejscowościach na kilka stóp głębokości.

II.

Młodość społeczeństwa. — Energia, zapał, przedsiębiorczość. — Stanowisko kobiet i ich wpływ. — Kobieta angielska w rodzinie. — Podobieństwo tutejszej młodzieży. „Flirtation“ i „Temporados“. — Panny; mężatki. — Kłopoty narzeczonych. — Wyprawy weselne. — Ślub w rodzinie Ocampo. — Pan Andrieux i osada Ocampo w Gran-Chaco. — Wycieczka i niebezpieczeństwo. — Ocalenie.

Rozpatrując się wkoło siebie, z przyjemnością widzę wszystkich porwanych w jeden wir użytecznej pracy lub ochoczej zabawy, a w wirze tym ostać się niepodobna: rwie on w siebie i pociąga. Narody tak jak ludzie mają rozmaite epoki rozwoju życia; kraj tutejszy obecnie przebywa pierwsze chwile młodości; wszystko w nim tętni pełnią życia, potrzebując ruchu i swobody, ażeby rozwinąć siły żywotne. Pole ku temu ma zewsząd otwarte, a trzeba mu oddać sprawiedliwość, że czasu nie marnuje, idzie ciągle naprzód. Młodzię pracuje z zapałem, kształci się, podróżuje, mając prawie zawsze na celu dobro ogółu i pożytek kraju. Powoli ziarno do ziarnka dorzucając, jednostki do celu szczęśliwie zmierzają. Kobietom po części mogą zawdzięczyć to, czem dziś są. Niema wątpliwości, że narodami przodującymi innym cywilizacją były i są dziś te, u których kobieta potrafiła wyrzeźbić sobie moralny wpływ i przewagę towarzyską, i zajęła odpowiednie powołanie swemu miejscu przy ognisku domowym. Temu wpływowi Anglia zawdzięcza swoich nieskazitelnych obywateli i tyłu znakomitych ludzi. Angielka, tak, jak każda inna matka tuląc jeszcze swe dziecię do piersi, uczy je rozpoznawać złe i dobre, budzi w niem uczucia prawdy, miłości Boga i bliźniego; ale tu nie ustaje jej udział czynny i wpływ nad dzieckiem: z czasem z nianki staje się jego powiernicą i przyjaciółką, a przy współudziale zaufania, które potrafiła wzbudzić w tem młodem sercu, rozwija powoli poczucie honoru, samoistności, porządku w życiu i obywatelstwa; ona, śledząc kroki syna po godzinach szkolnej nauki, na drodze życia go prowadzi i uczy w serce ludzkie, a przede wszystkim w swoje własne, spoglądać. Na gruncie tak przygotowanym złe wpływ swój zgubny rzadko kiedy wywrzeć zdoła; myśl, żeby mógł nieuszanować istoty, która przez całe życie atmosferą uczciwości go otaczała i robiła z niego niepospolitego człowieka, daje mu siłę do pokonania wszelkich pokus. Z czasem cześć dla matki zamienia się w cześć dla żony, a domowe ognisko nie przestaje później tak, jak za dziecinnych lat, być jego prawdziwym rajem na ziemi; w żonie znajduje przyjaciółkę zdolną wznieść się razem z nim ponad lichy poziom życia.

Podobnych zalet nie można odmówić kobietom tutejszym. Są one dobrimi żonami, matkami i obywatelkami; wszystkim też są w domu: one ogrzewają rodzinę swą ciepłem serdecznym; z nich wychodzi pierwsze pobudka myśli i czynów ogólnych; kobieta bywa tu, nietylko dobrym duchem, ale prawdziwą duszą i ciepłem rodziny, a dumna ze swego stanowiska, innego nie pożąda. Na życie towarzyskie składają się inne zupełnie żywioły, niż w ogóle w innych krajach. Zabawa ma głównie na celu zebranie młodych osób, a te chociaż nie są tak emancypowane, jak mieszkanki Ameryki Północnej, daleko więcej wszakże mają wolności od Francuzek lub Włoszek. Na balach w ich ręce mężatki berło oddają, a one ze swobo-

da i z całą godnością, kobiecą władzę swą sprawują.

Obyczaje tutejsze, zbliżone w tym względzie do angielskich, pozwalają na wielką swobodę pomiędzy młodymi ludźmi i pannami. Jak w Anglii istnieje *flirtation*, tak tu młódź ma swoje *temporados*. Ostatni ten wyraz właściwy jest tylko La Placie. *Flirtation* nie ma odpowiedniego sobie wyrażenia w żadnym europejskim języku. Brak wyrazu własnego lub przyswojonego na określenie pewnej rzeczy lub czynności w danym języku dowodzi, iż czynność ta lub rzecz nie istnieje pomiędzy ludźmi mówiącymi tym językiem. Rzeczywiście, poza obrębem Anglii i La Platy nigdzie nie istnieją owe *temporados* i *flirtation*. Jest to poprostu przywilej służyący mężczyznom, a polegający na tem, że młodzieniec, spotkawszy w towarzystwie osobę, która mu się może tylko chwilowo podoba i wdziękiem go swym pociąga, ma prawo otoczyć ją wszelkimi atencjami, być nią tylko wyłącznie zajęty, rozmawiać z nią i bawić się przez cały wieczór, i chociaż w formie największego szacunku, składać jej hołdy jakgdyby pani swego serca. *Temporados* może trwać jeden wieczór lub kilka tygodni i miesięcy nawet, nie pociągając za sobą żadnej odpowiedzialności ze strony mężczyzny, ani kompromitacji dla kobiety; jest to poprostu niepojmowana przez ogół ludzi, ale i tu i w Anglii praktykowana, najplatoniczniejsza przyjaźń pomiędzy mężczyzną i kobietą. Obyczaje, tak pełne swobody pod tym względem, są surowymi w innych okolicznościach; narzeczoną, na przykład, przestaje już bywać w świecie, ogranicza się na towarzystwie blizkich krewnych i dobrze znajomych.

„Co kraj, to obyczaj”; tu jednak szczególnie oryginalne są zwyczaje zachowywane przy zamążpójściu. Przyjęte jest w całym kraju, że rodzice wyprawy córce nie dają; mąż bierze ją w ślubnej sukni, a resztę niezbędnych przedmiotów, jako to: suknie, okrycia, bieliznę, jednym słowem: wyprawę całą, jaką zwykle matki mniej lub więcej zamożne córkom dają, dostarczyć jest obowiązkiem męża; starać się on musi o wszystko, tak, ażeby jego narzeczoną miała po ślubie gotową kompletną wyprawę. Widziałam Francuza zaręczanego z panną tutejszą, który, będąc szalenie zakochanym, był biedak równie szalenie zakłopotany. Oto zamówił dla swego bożyszcza stosowną wyprawę, ale już dzień ślubu się zbliżał, a on najzupełniej zapominał o rondlach, garnkach i ścierkach, i nie wiedział co zrobić, nie umiał sobie dać rady.

Zwyczaj ten ma swoją piękną stronę, bo okazuje, że bierze się żonę tylko dla niej i że ona mężowi musi wszystko zawdzięczyć. Kobiety wogóle młodo dosyć za mąż wychodzą; od piętnastego też roku życia zaczynają już myśleć o wyprawie i za każdy grosz, który zbierają, kupują płótno i szyją, haftują, tak, ażeby nie być bez zasobu, gdyby przyszły starający się o rękę nie miał dostatecznego funduszu dla nabycia rzeczy niezbędnych.

Z drugiej strony jeżeli narzeczonemu musi myśleć o wyprawie przyszłej swej żony, to znowu rodzice jej myślą o przyszłości ich obojga i po największej części córka, idąc za mąż, nie opuszcza domu rodzicielskiego, ale sama zięcia w dom wprowadza. Jest to zwyczaj patryarchalny, wszędzie tu zachowywany, który bardzo mi się podobał. Młoda kobieta nie jest tym sposobem wyrwana z domu rodzicielskiego, z koła, w którym wyrosła i całą duszą się zespoliła, nierzuci się jej od razu w świat nowy, zupełnie jej obcy; rodzina jej tym sposobem również zyskuje, bo zwiększa się nową istotą, całem sercem jej oddaną, i zamiast zamążpójściem córki zluźnić swe węzły,

przeciwnie, jeszcze bardziej je zacieśnia. Poznałam jedną z najdawniejszych rodzin tutejszych, państwa Ocampo, składającą się już z czterech pokoleń, która zwyczaj ten zachowała. Mają ogromny dom z ogrodem i w nim cała rodzina się mieści; wdowy i panny, które nie wyszły za mąż, zajmują się ogólnem gospodarstwem i zarządem domu. Wszyscy razem do stołu zasiadają i wspólnie wieczorem się bawią. Ogromne wrażenie sprawia widok sędziwych staruszków, otoczonych wesołym gronem licznej rodziny, mających obok siebie przy stole dwoje benjaminków, dzieci niedawno wyszłych za mąż wnuczek. Obrazy takie często tu widzieć można, a rzeczywiście muszą one każdego chwycić za serce.

Jakkolwiek mężatki niechętnie bywają na balach, nie unikają jednak dlatego wcale towarzysztwa; dom ich otwarty dla przyjaciół co wieczór; w małym zebraniu, bez ceremonii i nadzwyczajnych przyjęć, radzi się każdemu, kto ich odwiedzi. Wielkie obiady bywają przy każdej nadzwyczajnej okoliczności i kobiety zawsze na nie zaproszenia otrzymują; nawet na obiadach urzędowych damy zawsze są obecne.

Prócz domowych zajęć i polityki, która niezmiernie zajmuje tutejsze kobiety, uczestniczą one we wszystkich dobroczynnych zamysłach i zajęciach i wiele dobrego biednym świadczą. Wogóle są bardzo skrzętne, zwinne, inteligentne. Ubierają się gustownie, może trochę za jaskrawo, ale nie bez smaku i pewnej oryginalności, z którą im bardzo do twarzy. Piękność ich potrzebuje kolorów żywych i otoczenia jaskrawego, chociaż niejedna w najskromniejszej sukience ośnie- wa pięknoscią, a twarzyczka z pięknym owalem i oczami pełnymi wyrazu wydaje się z ram wyjętą madonną Murilla.

Rodzina Ocampo słynie z piękności kobiet, a młody ów bohater, który stehorzył przed kupnem garnków i ścierek, ożenił się właśnie w tej rodzinie. Wesele było bardzo świetne; cały kwiat towarzystwa znajdował się na niem, trudno opisać bogactwo strojów i klejnotów. Pannę młodą obsypano podarunkami i kwiatami; każda z osob obecnych przysłała bukiet, a bukiety tutejsze śmiało nazwać można gajami kwiatów; mają one około metra średnicy i bywają zwykle osadzone na rodzaju podnoża z mchu i trzciny tak, że można je zupełnie postawić na ziemi, jak stół, lub zdjąć z podstawy. Bukiety ułożono jedne na drugich na podłodze, prawie na trzy łokcie wysoko wkoło ścian, tak, że te literalnie były obstawione świeżemi białemi kwiatami: widok prześliczny, zapach tych kwiatów dla niektórych osób za mocny, prawie odurzający. Nigdzie takiej obfitości i rozmaitości kwiatów nie zdarzyło mi się widzieć, jak w Buenos-Ayres; wszystkie kwiaty europejskie tu rosną, wiele innych właściwych tylko tutejszej strefie; łatwo też dają się aklimatyzować rośliny ze stref gorących. Kwiatów wszędzie pełno, panie na wieczorach świeżemi kwiatami zdobią włosy i suknie, a salony są niemi przepełnione, tak zimą, jak latem. Przy każdej uroczystości, imienin, chrztu ect., wszyscy znajomi czują się w obowiązku solenizantów niemi obdarzać, a w takich okolicznościach bardzo często widzieć można ściany salonu do znacznej wysokości niktące pod świeżemi kwiatami. Przystrojenie zatem salonu pp. Ocampo nie było wypadkiem nadzwyczajnym, wyjątkiem od zasady. Wyjątkiem za to od obyczajów, nie europejskich, ale tutejszych, jest to, że pan młody żonę swą zabrał i wyjechał z nią daleko w strony odludne i mało znane, bo aż na terytoryum Gran-Chaco. Pan Andrieux jest założycielem kolonii Ocampo. Jest to jedna z nielicznych osad znajdujących się w Gran-Chaco; założoną była w celu eksploata-

nia lasów tamtejszych, w których rosną drzewa rzadkiej piękności.

Pan Andrieux, przyjechawszy do Gran-Chaco, zastał przestrzenie ogromne, wcale nie zamieszkane, bez śladu stopy ludzkiej, pokryte dziewiczymi lasami; musiał wycinać przed sobą drogi w gęstwinach nieprzebranych, a wyszukawszy z wielkim trudem dogodną miejscowość, niedaleko od rzeki spławnej, zaczął stawiać dom z drzew poscinanych; miał, naturalnie, ze sobą robotników, narzędzia i wszystkie zapasy potrzebne. Obozując pod namiotem, pilnował budowy domu, a ułatwiwszy się z tem, w kilka tygodni zaczął stawiać tartak parowy (jest z powołania inżynierem mechanikiem). Z początku cała robota szła jak z kamienia, wiele bardzo trudności było do zwalczenia, a sąsiedztwo pobliskich Indian nie zachęcało do pracy i osiedlania się. Pan Andrieux zrozumiał, że ludzi tych należy zjednać sobie łagodnością, że walka z nimi byłaby daremną; starał się więc wejść z nimi w stosunki, nauczył się ich języka i takie umiał wzbudzić w nich zaufanie, że dziś w osadzie liczącej prawie czterystu robotników, połowa jest Indian.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MYŚLI.

Jako żurawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem;
Umra?—ich duchy lecą przed narodem.

Jul. Słowacki.

Bóg w wolę ludzi rzucił cudów zaród;
Byle się tylko w pychę nie spodliła
W cud zolbrzymieje, wciąż wzrastając czynem.
Pycha to karłów zbuntowanych siła;
Wawrzyn jej zwycięztw—na krótko wawrzynem.

Zygm. Krasiński.

Wiem, że nie zawsze na świecie pogoda,
Wiem, że nie zawsze cnota jest na świecie;
Zdawna przywykłam w jesienne zawieje
Czekać, aż słońce kiedyś zajaśnieje,
A złością ludzką dobrego nie mierzyć,
Boć cnota wyraz ludzki, więc w nią wierzyć!
Wierzę bezwzględnie, bez warunków, szczerze
Jak w przyszłość—w mądrość, w litość Boską
[wierzę....

Zmichowska.

Tam, gdzie się boleść zaczyna—
Bezwiednej martwoty kres!
Ponad nią niebios kraina,
Gdzie miłość wykwiła z łez.—
Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nić;
Ból samowiedzę zdobywa:
Chcę cierpieć, kochać i żyć!

A. Asnyk.

Myśl bez czynu podobna księdze jeszcze białej,
Słowo niebrzmiające czynem,—to kościół bez
[dzwonu,

Miłość niewsparta czynem, jest to łuk bez strzały.
Świat duchów tylko tworzy stopnie jego tronu,
Stałowa myśl jest tylko kluczem jego bramy,
Słowo tylko skowronkiem u jego zagonu,
Miłość tylko pochodnią, z którą go szukamy.

Deotyma.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 9-ty i 10-ty powieści pod tyt.: **Silny duch**.

IREŚĆ. Ozymandyas, poezya, przez El-y — Życie w rodzinie, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Henryk Siemiradzki, dalszy ciąg), przez Stanisława Krzeminskiego. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Listy z Magdeburga VIII**, J. I. Kraszewskiego. — **Korrespondencya Jerzego Sand.** — Za Oceanem, wspomnienia z podróży, przez Helenę Negroni. — **Myśli.**

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 9-ty i 10-ty, przez W. Heimbürg. — 33 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — **Se-kreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbrandta Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Января 1885 года.

DODATEK DO BLUSZCZU.

N^r 2.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Karczek do koszuli fabrycznym szlaczkiem i szydełkową robotą.

Rycina Nr 19 i 20 w Blusz. Nr 1.

Karczek z fabrycznego szlaczku, robotą szydełkową, krętemi niemi Nr 70 robiony. Najprzód na przednią i tylną część karczka trzeba po 2 kawały szlaczku 38 c. długości, połączyć je kilkoma kolejami (patrz ryc. 20 w Blu. Nr 1). Zrobić po jednej stronie szlaczku kolej 1: 1 słupek w najbliższą петельkę * 2 razy na przemian: 3 pow. ocz. 2 słupek, przedzielone 3 pow. ocz., w trzecie następujące oczko, 3 pow. ocz., 2 słupek, przedzielone 3 pow. ocz., w drugą następną петельkę, od * powtarzać. Kolej 2: 1 słu. w następny słupek poprzedniej kolei, * 2 o.



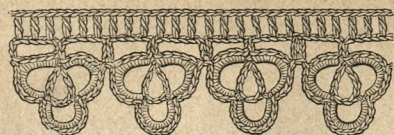
pow., 1 ści. ocz. wśródkowe z następnych 3 pow. ocz., 2 pow. o., 2 słupek, przedzielone 3 pow. ocz., w środkowe z następnych 3 o. pow., od * powtórzyć. Kolej 3: 1 słu. w pierwszy słupek poprzedniej kolei; dalej ciągle na przemian: 3 pow. ocz. 2 słupek, przedzielone 3 powie. ocz. w środkowe z 3 następnych o. pow. Kolej 4. Wziąć drugi szlaczek w rękę i robić jak kolej 2, jednak na przemian 2 razy środkowe z 3 następnych pow. ocz. raz o trzecią, a raz o drugą петельkę drugiego szlaczku przy mocować. Połączwszy na tył i przód karczka w ten sposób dwa szlaczki, dołącza się na każdy rękaw dwa po 44 cent. długie kawałki szlaczku, za pomocą takichże 4 kolei i zeszycia każdy rękaw

Plecy.

Nr 1 i 2. Okrycie z sukna i krymskich baranków. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 11, fig. 12 — 17.

Przód.

Nr 3. Kostium sukienny Przód. (Do ryc. 20). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1 do 11.

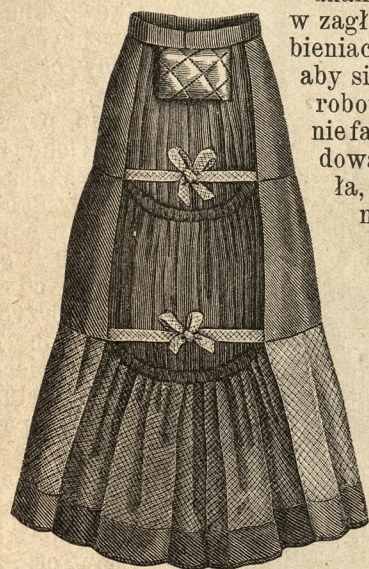


Nr 4. Korona do bielizny szydełkową robotą.

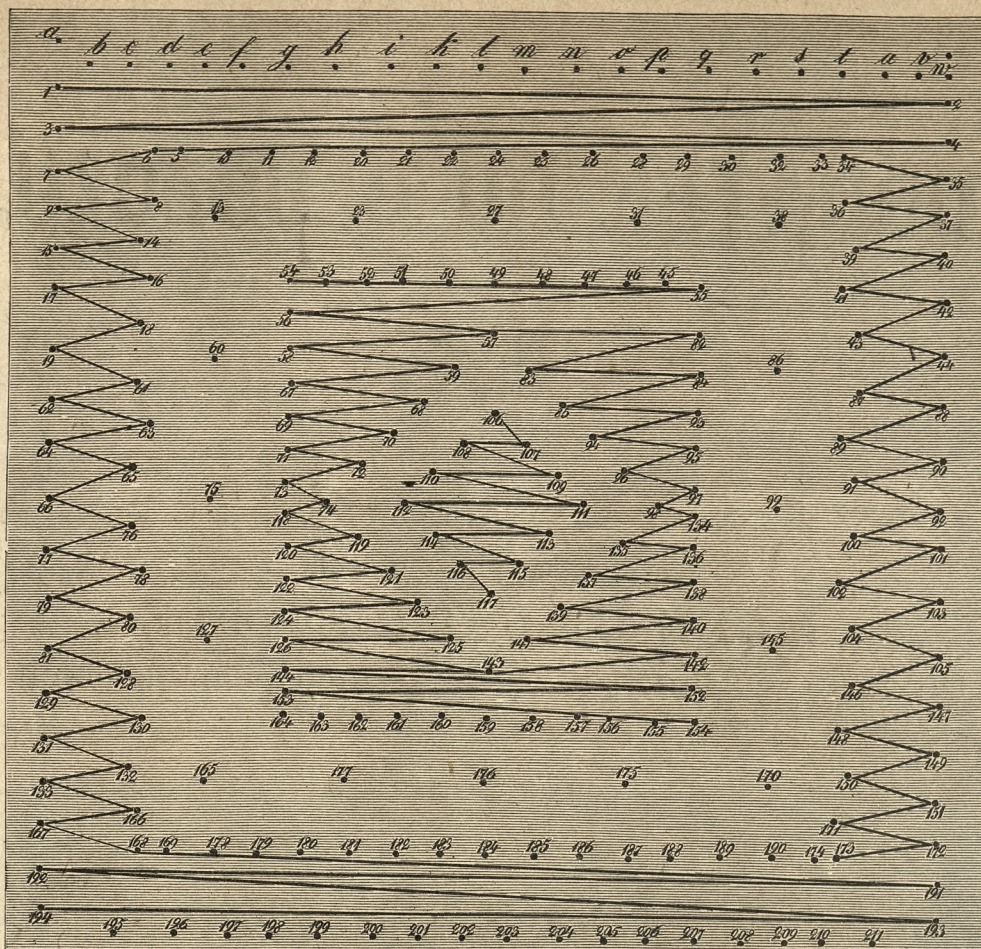
w ten sposób, że poprzeczny brzeg trafia na stronę podłużną drugiego kawałka, przez co formuje się klin pod pachą. Po obu stronach na 9 cent. od rogu podkłada się poprzeczny brzeg przodu u tyłu karczka i dzierga następnie z boku karczka, który powinien trafić na stan koszuli. Kolej 5 ciągle naprzemian: 1 słu. w następną pentelkę szlaczku, 2 pow. o., 1 pętelle opuścić (a ponieważ tam pętelle nie ma, więc przestrzeń odpowiednią pętelle) dalej trzeba uważać, że w zagłębiach po 3 pętelle opuszczać; na każdym rogu zrobić 2 słupki przedzielone 5 pow. ocz., następnie robi się na koronkę w górze i u rękawów 6 i 7 kolej, tak jak

1 i 2, jednak w zagłębiach, aby się robota niefałdowała,

nieważ odmiennie dziergać; w 8 kolej robi się zawsze 2 słup. przedzielone 3 pikotami w środkowe z następujących 3 pow. o., w końcu 1 łańcuszkowe oczko w 1 słupku tejże kole.



Nr 9. Wewnętrzna strona spódnicy ryc. 10.



Nr 6. Podkład do wstawki klockowej r. 7. Powiększony.

Wzory ażurowe na serwety.

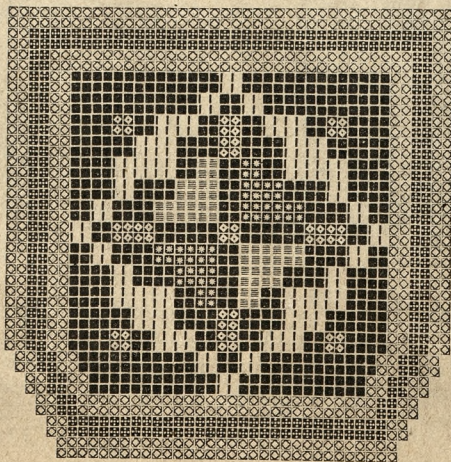
Rycina Nr 21 i 22 w Blu. Nr 1.

Wzory podobne robią się niemi grubości użytej tkaniny. Najprzód należy materiał wyrobić w kwadraty, wyciągając zawsze naprzemian wzdłuż i w szersz po 4 nitki, a 2 nitki zostawiając, wyciągnięte nitki założyć na lewą stronę, zamocować i obciąć. Tak wyciągnięte tło przecerować podług ryciny 21 ścięciem point-d'esprit, zawinać nitki, aby się formowały kółka i przeciągać nitkę zawsze do następnego kwadratu tła. Na wzór pod ryciną 22, przecerować każdy kwadrat tła na połowę w ukośnym kierunku, ścięciem point-de-reprise.

Koszyczek do roboty z pokrywką.

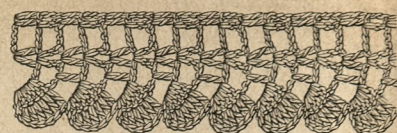
Rycina Nr 26 i 27 w Blu. Nr 1

Koszyk do roboty z połączanego łyżeczka. Wyłożony wewnątrz fałdowanym atłasem koloru miedzianego obklejonym na tekturze. Pod pałączkiem torebka, oraz poduszeczka do igieł; pierwsza z atłasu, 30 cent. długa, a 14 cent. szeroka, która na połowę złożona w odstępie 2 cent. od złożenia przewleczona i przesyta gumowym sznurkiem. Poduszeczka do igieł pokryta takimże atłasem, ozdobiona sznurem i wyszyta złotymi nitkami. Pałączek obwinięty sznelą, zdobną pomponiki z włóczki. Na koszyczku jest pokrycie z żółtawego płótna, przerabianego złotą nitką, wyszyte haftem „à la renaissance”, na które trzeba przenieść wzór z ryciny 27, a wszystkie figury wzoru gęstymi ścięgami, różnokolorowym jedwabiem wyszyć, nastę-



■ ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, □ ciemno-pasowy, ■ ciemno-ceglasty, □ jasno-ceglasty, □ oliwkowy, □ złoty.

Nr 11. Wzór na worek do nóg krzyżową robotą.



Nr 5. Korona do bielizny szydełkową robotą.

pnie przejmować te figury filozelą i złotą nitką. Po wykończeniu haftu naszyć wzdłuż 3 cent. szerokimi paskami pluszu miedzianego koloru, podszyc atłasem i zakończyć brzegiem szlaczkiem sznelowym, przybranym pomponikami z włóczki.

Szlaki do serwet, koszyczków lub t. p., płaskim, łańcuszkowym i pocztowym ścięciem.

Rycina Nr 12 i 13.

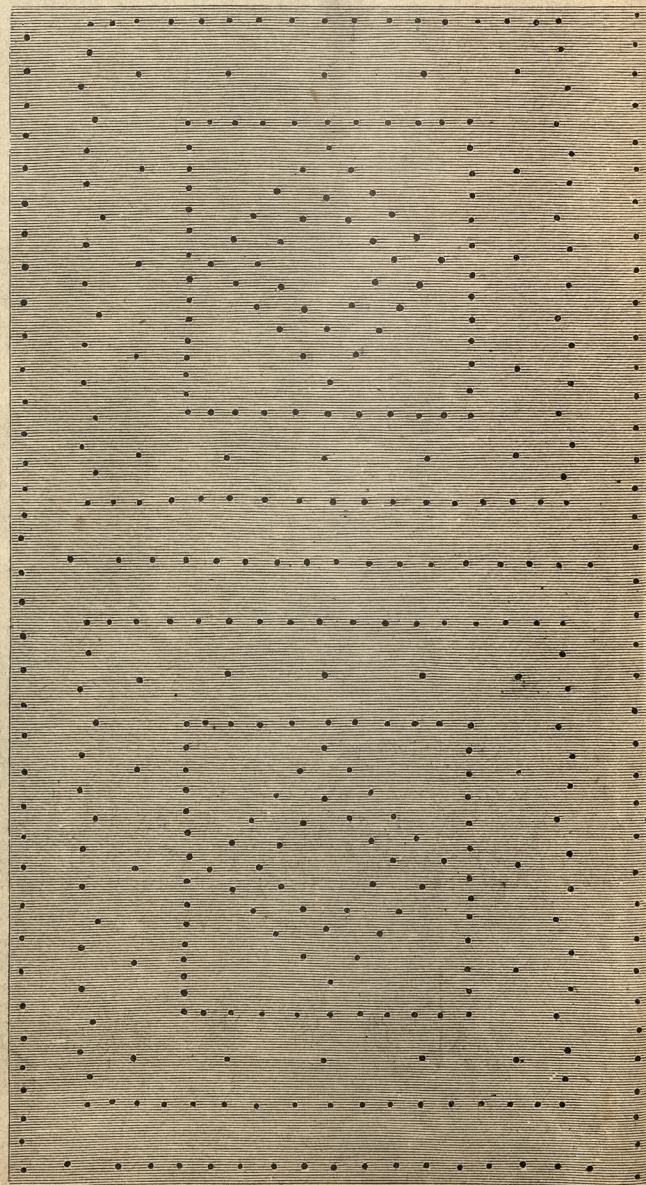
Szlak pod ryciną 12 haftuje się różnokolorowym jedwabiem ścięciem płaskim, łańcuszkowym i pocztowym, na szerokiej pletni z czarnej włóczki i jedwabiu koloru „viel'or” i przyszywa się do rep-



Nr 10. Spódnica z „Bizon”. (Do ryc. 9) Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 45-47.

sowej lub sukiennej serwety, pomiędzy dwoma równoległymi liniami, które obejmują brzegi szlaku.

Szlak ryciny 13 haftowany jest na oliwkowej jedwabnej pletni, ścięciem pocztowym, filozelą koloru „viel'or” i pasowym jedwabiem. Brzeg



Nr 8. Podkład do wstawki klockowej ryc. 7. Wielkość natur.

Nr 7. Wstawka klockową robotą do franek, bielizny i t. p. (Do ryc. 6 i 8).



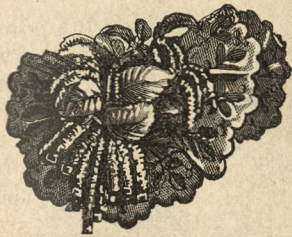
Nr 12. Szlak do serwet, koszyczków i t. p. płaskim, łańcuszkowym i pocztowym haftem.

zewnątrzny zakończony rzędem ścisłych oczek z jedwabiu koloru „vieil'or“.

Ubranko wizytowe i bukiet do stanika.

Rycina Nr 14 i 15.

Na to ubranko zrobić 14 c. długą, a 8½ c. szeroką, zaokrągloną na końcach podstawę, objąć ją drutem, a następnie wstążeczką, oszyć



Nr 14. Ubranko wizytowe. (Do ryc. 15).



Nr 15. Bukiet do stanika. (Do ryc. 14).



Nr 18. Chusteczka z koronkowego tiulu i koronki. Opis odwr. str. tabl.



Nr 13. Szlak do koszyków i t. p. ścięciem pocztowym i robotą szydełkową

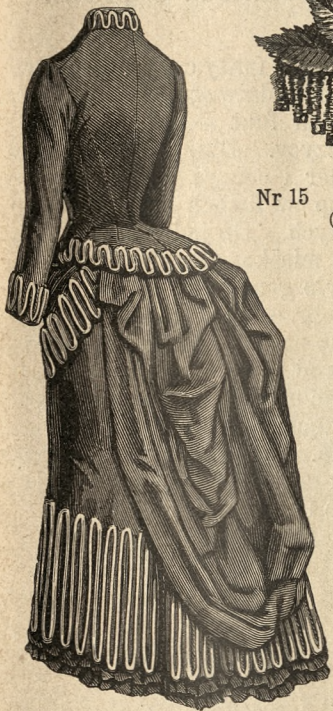
rabianej złotem gazy, oszyć z obu prostych stron 7 cent. szeroką koronką, tegoż co gaza koloru, zmarszczyć ukośny brzeg, ułożyć w fałdy w odstępie 10 cent. od dołu i przyszyć do 17 c. długiego, a 2 i pół centim. szerokiego kawałka sztywnego tiulu. Następnie przymocować do 3 i pół c. szerokiego



Nr 16. Ubranko wizytowe. Opis pierw. str. tabl.



Nr 17. Bukiet do stanika. Opis odwr. str. tabl.



Nr 19. Suknia z materiału „Bizon“.

w koło ufałdowaną, haftowaną kolorowym jedwabiem koronką, a środek ubranka przybrać trzema małymi bukietkami ze szneli i atłasowych liści.

Rycina 15 przedstawia bukiet do przybrania stanika, stosowny do ubranka.

Kostium sukienny.

Rycina Nr 22.

Spódnica 210 cent. obwodu w dole mająca, pokryta fałdowanym wolantem z sukna oliwkowego koloru; stanik i tiunika zrobione są z tegoż materiału. Przybranie stanowią grelotki i 2 centim. szeroka plecionka.

Żabot z gazy, koronki i wstążki.

Rycina Nr 23.

Trójkątny, 40 cent. długi kawałek brązowej prze-



Nr 21. Suknia z gładkiego i w paski wełnianego materiału. Opis odwr. str. tabl.

Nr 22. Kostium sukienny.



Nr 20. Kostium sukienny. Plecy. (Do ryc. 3).

kołnierzyka z gazy układanej w fałdy i przykrytej koronką, a przybrać kokardami z 3 centim. szerokiej wstążki repsowej „ottoman“ brązowego koloru.

Żabot z crêpe-lisse.

Rycina Nr 24

Żabot zrobiony na 28 cent. długiej, a 4 i pół cent. szerokiej podstawie, z biało-niebieskiej „crêpe-de-chine“, oszytej tiulową koronką w deseń, koloru „vieil'or“, przepięty jest w trzech miejscach plecionką ze złota i szneli. Taką plecionką zdobi 3 i pół cent. szeroki kołnierzyk.

Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Rycina Nr 28.

Sukienka z granatowego dyagonalu, przybrana

wysyciem z ciemno-błękitnej, pół centim. szerokiej wełnianej taśmy, złotem prze-rabianej.

Kaftaniczek z bluzką z tegoż materiału, marynarskim kołnierzykiem i rąk-wersami; 220 cent. szeroki wolańt,

ułożony w kontr-faldy. Błękitne świecące guziczki u rąk-wersów i kokardka z błękitnej atłasowej, 5 centimetrów szerokiej wstążki, stanowią przybranie sukienki podług ryciny.



Nr 23. Żabot z gazy, koronki i wstążki.



Nr 24. Żabot z crepe-de-chine.

ta na tarce ze skórą, ze wszystkim, wyrzucając tylko pestki. Żadnej maki ani odrobiny — p i a n e z tych sześciu białek dobrze ubita, wymieszać lekko i szybko, a całą masę włożyć w wysmarowaną młodem masę m porcelanową salaterkę, lub półmisek z angielskiej blachy, zwykle używany do sufletów i zaraz wstawić w dobre ciepło, ale nie gorący piec, stawiając na niższą kondygnację, aby ciepło szło od spodu. Wyborna, prędko i lekka leguminka.

Sekrety gospodarskie.

Najłatwiejszy i najtańszy majonez z ryb.

W czasie przyjęć wieczornych, jednym z najłatwiejszych podań jest majonez, gdyż go sobie można poprzednio przyrządzić i podać bez ambarasu.

Dużą, na przykład ośmio-funtową rybę oczyścić, wyjąć po rozplataniu brzucha, ość grzbietową, zostawiając łeb i ogon w całości, osolic prażoną solą, złożyć i ugotować w waniencie w smaku z włoszczyzny, nalewając rybę zimnym zupełnie, a po ugotowaniu zostawić, aby w smaku zastygła — wyjąć na półmisek, oblać majonezem i ubrać. Po ugotowaniu ryby, w smak włożyć łut białej żelatyny, wygotować do połowy, rozbić parę białek z łyżką wody na pianę, wlać w trochę przestudzony smak, dodając octu mocnego parę łyżek i gotować na wolnym ogniu, aż zupełnie się sklaruje — precedzić przez serwetę na salaterkę do zastudzenia. Ubić dwa żółtka surowe i jedno gotowane na misce z trochę soli, dolewając po odrobinie pół funta oliwy — gdy całe pół funta wyjdzie, a majonez będzie gęsty, wziąć oddzielnie owej galarety szklankę lub dwie, ile wymaga wielkość ryby — ubić ją, dolewając, zawsze po odrobinie. drugie pół funta oliwy — gdy ubite, wymieszać z ubitym majonezem z żółtek, kręcąc jeszcze łyżką, aby się jednolita masa uformowała i połączyć całą rybę z głową. Ugotować kilka kartofli i marchewek, pokrajać je w drobną kostkę, razem także kilka grzybków lub rydzów marynowanych, trochę ugotowanego zielonego groszku, wymieszać wszystko, posolić, połączyć octem i oliwą i obłożyć taką „macédoine“ zwaną rybę po obu stronach. Na wierzch zaś pokrajać korniszony przepołowione wzdłuż i rozdzielone jeszcze na kilka plasterków tak, aby formowały liść i ubrać tem wzdłuż rybę, trochę kaparków, grzybków ładnych, głowę zaś ubrać salata. Pozostałą galaretę od ryby wylać na głęboki półmisek, a gdy zastygnie, pokrajać w podłużne kwadraciki, jak zwykle do ubierania i po obu brzegach półmiska poukładać; zrobić lejek ze sztywnego papieru, włożyć trochę galarety i wyciskając po trochu, ubrać jeszcze w gzygzaki całą rybę z wierzchu.

Suflet cytrynowy.

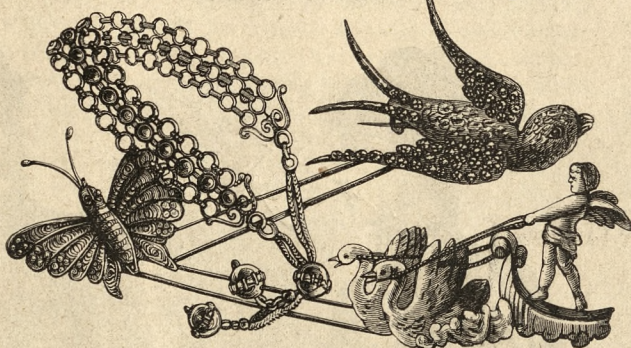
Sześć żółtek utrzeć z ćwiercią funta cukru na biało, dodać całą cytrynę utar-

Nr 25. Okrycie dla dziewczynki od 2 do 3 lat. Krój i opis odw. str. tabl. Nr VI, fig. 35—42.

Nr 26. Żakiet dla chłopczyka od 9 do 11 lat. Opis odw. str. tabl.

Nr 27. Sukienka dla panienki od 13 do 15 lat. Krój i opis odw. str. tabl. Nr V, fig. 25—34.

Nr 28. Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat.



Nr 29—32. Bransoletka i broszki srebrne

pie się tę mąkę mialko przesianą i mięsza aby żadnej nie było grudeczki, gotując zwolna na ogniu, póki dobrze nie zgrubnieje, wtedy odstawić, a drugą połowę cukru zrumienić na brązowo, rozebrać drugą połowę octu, pomieszać, dolewając powoli, z gęstą musztardą, nie dodając nic więcej, prócz dwóch łutów soli, a będzie wyborna. Jeżeli by była za gęsta, można dolać octu przegotowanego winnego — trzyma się dobrze i bardzo długo.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa „purée“ ze zwierzyny.
2. Polędwica z garniturem — krokiety z kartofli, kasztany, kapusta brukselska, cebulki szarlotki duszone, makaron.
3. Kotlety cielęce z groszkiem.
4. Kapłon z serdelami i kompotem.
5. Suflet pomarańczowy.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze Bluszczu podane dołączoną była do Nr 1.



Nr 33. Kapturek koronkowy do teatru. Krój i opis odw. str. tabl. Nr VII, fig. 43 i 44.